ŻYCIE

ROK XI — NR 40 (537) NIEDZIELA, 6 PAŹDZIERNIKA 1957 R. CENA1/6.



Fotografia żaglowca „Pamir", który zatonął na Atlantyku razem z 80 kadetami niemieckiej marynarki handlowej

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

ROK XI NR 40(537)

Niedziela, 6 października 1957 r.

Wydaje:

KATOLICKI OŚRODEK WYDAWNICZY „VERITAS". — 12 Praed Mews, London, W.2. Telefony: AMBassador 6879; PADdington 9734

Redakcja: Godziny przyjęć codziennie z wyj. sobót, niedziel i świąt g. 3 - 4 pp. Redakcja rękopisów nie zwraca.

Administracja: Czynna codziennie od 9-12 i 2-5 z wyj. sobót, niedziel i świąt.

Prenumerata (płatna z góry): miesięcznie: szyl. 6/6, dol. 1.10, fr. fr 330; kwartalnie: szyl. 19/6, dol. 3.00, fr. fr. 975; półrocznie s. 39/-, dol. 6.00, fr. fr. 1.950.

Wpłaty: a) **w krajach bloku szterlingowego**: Postal lub Money Orderami lub czekami bankowymi „crossed" (//); b) **w krajach bloku dolarowego**: International Money Orderami lub zwykłym przekazem jakiegokolwiek banku amerykańskiego; c) we **wszystkich innych krajach**: do miejscowego przedstawiciela naszego pisma sposobem przyjętym w danym kraju lub międzynarodowym przekazem pocztowym wprost do Administracji „Życia". Zmiana adresu sh 1/-, płatne równocześnie z zawiadomieniem.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez 1 łam — £ 1, dol. 3.00, fr. fr.1.000. Kolor. 100% drożej.

PRZEDSTAWICIELSTWA: Argentyna: „Libreria Polaca", Serrano 2076, piso I, Buenos Aires. **Australia: „Społem"**, 64 Tapley's Hill Rd., Royal Park, Adelaide, S.A.; **R. Treister**, 138 Burton St., Darlinghurst, N.S.W. **Belgia: Mme E. Kulakowska**, 1, Avenue Tedesco, Bruxelles. Pren. kwart. 130 frs. **Brazylia: Księgarnia Polska**, Caixa Postal 5201, Rio de Janeiro; **ks. dr Antoni Łatka**, Praça Cel. Fernando Prestes No. 233, Sao Paulo. **Dania: Ks. O. J. Szymaszek**, Skt. Annae Kirke, Hans Bogbinders Alle 2, Kobenhavn S. **Francja: Ks. K. Stolarek**, 29 Av. du Gen. Leclerc, La Ferté-sous-Jouarre, (S. et M.), CC 5 603 40. **Holandia: B. Galas**, Fagelstraat 15A, Breda. **Kanada: Canadian Mosaic Publishers**, Suite E, 4118 Western Av., Montreal 6; **International Book Service**, 57 Queen St. W., Toronto. **Niemcy: St. Mikiciuk**, Gablonzerstr. 7/I, (13b) München 45. Pren. kwart. 10 MD. **Norwegia: B. Łubiński**, Kongesgat 2, Moss. **Stany Zjedn.: „Gryf Publication"**, 296 Sheridan Av., Albany, N.Y; **M. Kijowski**, 380 North Av., Dunellen, N.J.; **„Pomoc" — Eksport-Import**, 761 Filmore Ave., Buffalo 12, N.Y.; **S. J. Rozmyslowicz**, 5718 St. Lawrence, Detroit 10, Mich.; **Mme J. Stojanowska**, 424 Ave. „E", Bayonne, N.J.; **Veritas Americana**, 134-09 Cherry Ave., Apt. 3B, **Flushing** 55, N.Y. **Szwajcaria: Mme B. Gierszewska**, Wallisellenstr. 483, Zurich, **konto** pocztowe: Zurich VIII 50734. **Pren. kwart.** 9.00 fr. **Szwecja: Mgr. B. Z. Kurowski**, Lund, Revingegatan 13B. Pren. kwart. 14.25 krs. **Włochy: Mme Bulhak-Jelska**, via Salaria 300 C Roma.

LISTY DO REDAKCJI

W ODPOWIEDZI PANU ANDRZEJOWSKIEMU

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Dziękuję bardzo za tekst listu p. Zygmunta Andrzejowskiego, przesłany mi przed ogłoszeniem w „Życiu". Rzecz cała jest warta dalszej dyskusji, o którą mi chodziło, gdy oddawałem do druku swój malutki szkic o Słowaczyńskim. Sądzę zatem, że znajdzie Pan, Panie Redaktorze, miejsce i na moją odpowiedź.

P. Andrzejowski poczuł się dotknięty moimi marginesowymi spostrzeżeniami o jego śpiewniku, wydanym jeszcze w roku 1945. Przyświecał mi cel, któremu p. Andrzejowski służył wiernie przez całe życie: troska, aby nie zmarnować naszego olbrzymiego dorobku w dziedzinie pieśni narodowych. Jeśli więc to, co napisałem, a co miało być argumentem „ad rem", zabrzmiało jako argument „ad personam" — jestem winien p. Andrzejowskiemu przeproszenie, które tu składam szczerze i pokornie. Niechżeż raczy przyjąć ode mnie zapewnienie, że ogromnie Go szanuję i poważam, znam jego wielkie zasługi i wysoce cenię olbrzymi a bezinteresowny trud, który włożył w pracę nad dziejami pieśni polskiej.

Błędy zdarzają się każdemu. Rzecz w tym, aby je prostować, inaczej bowiem przechodzą ze śpiewnika do śpiewnika, z wypisów do wypisów, aż wreszcie, po latach, utrwalają się tak dalece, że trudno je odróżnić od prawdy. Jestem przekonany, że gdyby w roku 1945 ktoś był zadał sobie tyle trudu ,aby w uczciwej recenzji sprostować błędy „Skarbca pieśni polskiej" p. Andrzejowskiego — zamiast przykrych potknięć, które tak szpecą teraz „Złotą księgę pieśni polskiej" Adama Harasowskiego, mielibyśmy wydawnictwo, którym emigracja mogłaby się szczycić. Kto wie, może nawet p. Zygmunt Nowakowski, zamiast pisać „na niewidzianego" przedmowę, byłby zajrzał do środka i będąc świetnym znawcą literatury polskiej — usunął przynajmniej najgrubsze omyłki.

A teraz do najważniejszej sprawy, którą poruszył p. Andrzejowski — czasu powstania „Warszawianki". Nie ma tu dostępu ani do Puzyrewskiego, ani do innych źródeł, na które powołuje się p. Andrzejowski, gdy twierdzi, że tę jedną z najpopularniejszych pieśni polskich śpiewano już pod Olszynką grochowską. Nie wiem więc jak brzmiały ich słowa, ani jaką pieśń mieli na myśli, z całą jednak pewnością nie mogła to być „Warszawianka" (Oto dziś dzień krwi i chwały) Delavigne'a w przekładzie Sienkiewicza do muzyki Kurpińskiego. Powód jest bardzo prosty: Kurpiński skomponował muzykę dopiero w kwietniu roku 1831, a więc przeszło miesiąc po bitwach grochowskich. Wątpię również, czy w czasie bitew, utwór Delavigne'a był w ogóle przełożony na język polski, choć niebawem doczekał się dwu tęgich tłumaczeń: Brunona Kicińskiego i wspomnianego już Karola Sienkiewicza.

Poeta Konstanty Gaszyński napisał, jak sam podaje — 28 lutego 1831 roku „w pięć dni po bitwie grochowskiej", „w szańcu przedmostowym Pragi", wiersz „Do Francuzów", „z okoliczności poezji Kazimierza Delavigne LA VARSOVIENNE". Gaszyński, którzy był melomanem, interesował się pieśniami narodowymi i sam układał teksty do pieśni, nie podałby zapewne tytułu po francusku, gdyby rzecz była już przełożona na język polski i śpiewana w bitwie, w której poeta brał udział.

Jeśli więc jakąś „Warszawiankę" śpiewano pod Olszynką, to mogła to być albo „Warszawianka z 17 kwietnia 1794" (przedrukował ją podczas powstania listopadowego „Polak Sumienny" nr 92), albo „Warszawianka" tegoż Gaszyńskiego (Winszujmy sobie, żeśmy dziś dożyli), ułożona do bardzo wówczas popularnej melodii: „Polak nie sługa" i wydrukowana w roku 1830 w „Bardzie Oswobodzonej Polski" Królikowskiego (Tom I, nr 4).

„Warszawianka" Delavigne'a-Sienkiewicza-Kurpińskiego nie była ani pierwszą ani ostatnią pieśnią narodową pod tym tytułem!

Z kolei — o innych błędach w „Skarbcu pieśni polskiej". Jest ich więcej niż trzy. Oto niektóre z tych, które zanotowałem (w nawiasach podaję pozycje, pod którymi p. Andrzejowski umieścił pieśni w swoim zbiorze):

1. B o g u r o d z i c a (poz. 1). Nie pochodzi ona sprzed roku 1250. Już Chrzanowski umieszczał ją w drugiej połowie w. XIII, a dzisiejsi historycy literatury przesuwają okres jej powstania do wieku XIV. Daty dokładnej nie znamy.

2. D u m a u k r a i n n a (poz. 3): Nazwisko autora brzmi: Czahrowski, a nie Czachrowski. Rzecz drobna, ale nie bez znaczenia ani dla p. Andrzejowskiego, ani dla mnie, którzy pochodząc obaj z „ziem ukrainnych", umiemy odróżnić „H" od „CH" nie tylko w pisowni, ale również i wymowie.

3. P i e ś ń k o n f e d e r a t ó w b a r s k i c h (poz. 20): „Marsz, marsz, me serce" — została przytoczona przez Horoszkiewicza. Znana jest dokładna data jej powstania: rok 1769.

4. P i e ś ń o h e t m a n i e Ż ó ł k i e w s k i m (poz. 23). „Śpiewy historyczne" Niemcewicza ukazały się po raz pierwszy nie w Moskwie w roku 1805, lecz w Warszawie w roku 1816.

5. Z a N i e m e n (poz. 35) — nie jest pieśnią „z okresu ostatnich lat Księstwa Warszawskiego". Bielowski urodzony w roku 1806, liczył niespełna lat siedem, gdy Księstwo przestało istnieć. „Za Niemen" — tytuł właściwy: „Rozłączenie", ujrzało światło druku w Pradze w roku 1833 w „Dumkach" Augusta Bielowskiego i Lucjana Siemieńskiego. Nie jest jednak wykluczone, że pieśń powstała w połowie roku 1831, kiedy to Bielowski służył w szeregach powstańczych, a hasło: „Za Niemen!" rozbrzmiewało szeroko w całej ówczesnej naszej twórczości pieśniarskiej.

6. T a m n a b ł o n i u (poz. 36) — nie jest ani rzeczą bezimienną, ani „pieśnią żołnierską z 1831 roku". Bardzo znany ten utwór Franciszka Kowalskiego p.t. „Ułan na widecie", napisany został przed powstaniem. Śpiewano go i podczas powstania, jak i tyle innych pieśni wcześniejszych, ale nie czyni to jeszcze zeń utworu powstańczego.

7. T ę s k n o t a z a P o d o l e m (poz. 43) — wcale nie powstała pod koniec wojny 1831 roku, lecz datuje się z okresu popowstaniowego. Ta „Dumka na wygnaniu" Gosławskiego ukazała się najpierw w poemacie „Odstępca", w „Poezyach ułana polskiego" w Paryżu (1833).

8. T ę s k n o t a (poz. 50) nosi w rzeczywistości tytuł: „Pieśń żołnierska" i wyszła spod pióra Mickiewicza nie później, niż w roku 1832. Liczy zwrotek 6, a nie 4.

9. C z a j k i (poz. 51) — to nie utwór bezimienny, lecz 12 początkowych linii „Pieśni odpływających" ze 'Żmii' Juliusza Słowackiego. P. Andrzejowski nie ma wyraźnie szczęścia do tej pieśni: przed wojną przypisywał ją Józefowi Bohdanowi Zaleskiemu.

10. W i l i j a (poz. 52) — jest to nie utwór samodzielny, lecz 10 linii z 24-rowierszowej „Pieśni" z „Konrada Wallenroda" Adama Mickiewicza. Data napisania: 1827.

11. A k t o c h c e r o z k o s z y u ż y ć (poz. 54) — jest to autentyczny utwór powstańczy z roku 1863, a nie z czasów 1849 - 1868 Władysław Tarnowski, autor słów i melodii, w roku 1849 liczył wedle jednych lat 5, wedle innych — 13, ale pieśni żołnierskich jeszcze wówczas nie pisywał.

12. C o t a m m a r z y ć (poz. 58) — nie jest pieśnią żołnierską z roku 1863. Słowa napisał Romanowski jeszcze w roku 1860, a muzykę ułożył Duniecki (Stanisław, a nie „W.") w roku 1867, nadając kompozycji tytuł: „Piosenka żołnierska".

13. P i e ś ń o L e c h u (poz. 60) Romanowskiego nie ma nic wspólnego z powstaniem styczniowym. Tragedia „Popiel i Piast", z której „Pieśń" wyjęto, jest wcześniejsza, a muzyka Noskowskiego — późniejsza.

14. G w i a z d e c z k o (poz. 61) — nie jest wcale utworem „mało znanego poety G. Zielińskiego" (pożal się Boże — Gustaw Zieliński, autor „Kirkiza", mało znany!), lecz pieśnią **Wiktoryna** Zielińskiego.

15. P r z y b y l i u ł a n i (poz. 120) — motyw i melodia istotnie ludowo-żołnierskie, ale słowa — Feliksa Gwiżdża i z roku 1918, a nie 1914-1915.

16. M a r s z I B r y g a d y (poz. 122) — powstał nie w roku 1916, lecz częściowo w roku 1917 (refren, dwie zwrotki), a częściowo w roku 1918 (pięć pozostałych zwrotek). Historię utworu opisał jego autor Tadeusz Biernacki w broszurze: „My, Pierwsza Brygada — powstanie i historia pieśni", wydanej w Warszawie w roku 1918.

17. S t r z e l c y w o k o p a c h (poz. 124) Adama Kowalskiego. Rok powstania 1914, a nie: 1915-1916.

18. N a p r z ó d d o b o j u, ż o ł n i e r z e (poz. 142) — ten Hymn Polski Podziemnej powstał w roku 1942, a nie 1944.

Wyliczenie powyższe dalekie jest od kompletności. Chciałoby się np. podyskutować, czy melodia „Boże, coś Polskę" jest istotnie Jana Kaszewskiego, czy też zaczerpnięto ją ze starego hejnału krakowskiego: „Bądź pozdrowiona, Panienko Maryjo". Chciałoby się raz nareszcie ustalić, czy krakowiak: „Bartoszu, Bartoszu, oj, nie traćwa nadziei" jest z r. 1831, jak zdaje się sądzić Andrzejowski, czy z roku 1794, jak utrzymuje Lorentowicz. Chciałoby się przypomnieć, czy „Białe róże" Eugeniusza Kozara-Słobudzkiego, powstały w roku 1918, jak upiera się Bystroń, czy też śpiewano je w Legionach już w roku 1915, jak twierdzi Andrzejowski. Takich pytań i wątpliwości nasuwa się wiele. Sam fakt, że one istnieją, świadczy dobitnie o tym, jak dużo jest do zrobienia w historii pieśni polskiej.

Na zakończenie — projekt konkretny. P. Zygmunt Andrzejowski przygotował przed wojną obszerne wydawnictwo: „Wojenna pieśń polska". Rzecz była bodaj w całości wydrukowana, ale ze względu na wybuch wojny nie dotarła już do półek księgarskich i tylko jakimś szczególnym trafem tom I-szy wydawnictwa (ale tylko I-szy) znalazł się w Londynie w bibliotece Polish Research Centre. Nie wiem skąd, ale znajdują się teraz pieniądze na wydawanie książek na emigracji. Czy nie można by ich znaleźć na dzieło Andrzejowskiego? Przed drukiem radziłbym Mu szczerze, aby oddał je do przejrzenia któremuś z polonistów naszych w Londynie. A potem — niech puszcza książkę w świat. Jeśli będą błędy (a gdzie ich nie ma?) — będziemy zbiorowo protestować. Niech tylko się ukaże! Czekają na nią zastępy młodzieży polskiej, której należy się nareszcie obszerny wybór naszej pieśni wojennej!

Proszę przyjąć, Szanowny Panie Redaktorze, wyrazy głębokiego szacunku.

Z poważaniem

Andrzej Pomian

KSIĄŻKA EMIGRACYJNA SERDECZNIE PRZYJĘTA W POLSCE

Drodzy Rodacy!

Dziękujemy serdecznie za przysłany nam egzemplarz książki St. Westfala pt. „Rzecz o polszczyźnie", który włączyliśmy do biblioteki szkolnej.

Głęboką radością i wzruszeniem przejął nas fakt, że na dalekiej obczyźnie nasz Rodak zajmuje się historią ojczystego języka. W Jego książce widzimy owoc rzetelnego znawstwa przedmiotu oraz prawdziwego ukochania narodowej kultury i literatury. Napisana w sposób przystępny, z humorem i polotem literackim, zdolnym zainteresować nawet najmniej ze sprawami językowymi obeznanego czytelnika, „Rzecz o polszczyźnie" jest niewątpliwie cenną pozycją w naszej literaturze językoznawczej. Dla młodzieży dar Wasz będzie bodźcem do wnikliwszego poznawania tajników mowy ojczystej.

Przesyłamy Waszemu Wydawnictwu serdeczne życzenia dalszej jak najowocniejszej działalności w służbie dla Narodu.

Z wyrazami wdzięczności i szacunku

(podpisy)

KRONIKA

JERZY ZAWIEYSKI W LONDYNIE

Z Jerzym Zawieyskim spotkaliśmy się dwukrotnie, raz na urządzonej z racji jego przyjazdu „kawie" w Domu Pisarza, kiedy to znakomitego autora podejmował Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie, drugi raz na jego wieczorze autorskim, urządzonym staraniem Zrzeszenia Studentów i redakcji „Merkuriusza" w lokalu Lotników.

Dom Pisarza, położony w przepięknej północnej części miasta z dala od dymu fabryk, wysoko ponad innymi dzielnicami, z widokiem na drzewa ogrodu, nadaje się jak chyba żaden inny, na przyjęcia pisarskie. Poza tym w organizowaniu takich przyjęć, skromnych ale serdecznych, Związek Pisarzy ma już pewną tradycję, zapoczątkowaną przez prof. Strońskiego, a kontynuowaną przez dr. Terleckiego, przy stałej współpracy mieszkańców Domu z Tadeuszem Sułkowskim jako jego kierownikiem na czele.

Sala przyjęć w Domu Związku Pisarzy nie jest bardzo pakowna i często bywa w niej ciasno. Tym razem przybyło 50 osób: literaci, dziennikarze i ich przyjaciele, przybyli na spotkanie z Jerzym Zawieyskim, który choć polityk i pisarz, tu był tylko kolegą —

PUNKTY WIDZENIA

O SZERSZE OTWARCIE DRZWI

Z perspektywy dwunastolecia,, które upłynęło od zakończenia wojny, można dziś stwierdzić, iż z trudną sprawą uchodźców nie uporano się w sposób odpowiadający moralnej wadze tego zagadnienia międzynarodowego. Mimo bowiem niewątpliwie wielkiego wkładu dobrej woli organizacyj i jednostek, które się temu zadaniu poświęciły, pozostaje dziś w Niemczech jeszcze wielu uchodźców, którzy żyją w warunkach nie zawsze ludzkich, niezależnie od tego, czy sami temu zawinili ,czy nie. Chodzi bowiem o sam fakt, iż w ciągu ponad dziesięciu lat nie zdołano załatwić sprawy kilkudziesięciu tysięcy ludzi, którzy jednak są ofiarami hitlerowskiego systemu wywożenia na pracę przymusową, i którzy dotychczas ponoszą konsekwencje rzucenia ich na pastwę najpierw nieludzkich często pracodawców, a potem demoralizującego życia w obozach uchodźczych.

Nas ta sprawa szczególnie obchodzi, bo wśród żyjących w Niemczech około 50 tysięcy Polaków jest spora grupa właśnie takich ludzi, których nie uznano za dostatecznie wartościowych, aby mogli wyjechać do innych krajów. Przeważnie bowiem bogate kraje, które gotowe były przyjąć uchodźców, kierowały się interesem, biorąc pod uwagę ich przydatność jako siły roboczej. Na tym tle jakże bezinteresownie wyglądały gesty małej Holandii czy też Danii, które zgłosiły gotowość wzięcia tysiąca czy więcej ludzi wiekowych lub chorych, nawet na gruźlicę.

Jakie są skutki tak jednostronnego traktowania tego problemu, zwrócili uwagę biskupi katoliccy Australii, gdy w tej sprawie wydali z końcem sierpnia bieżącego roku specjalny list pasterski na „niedzielę sprawiedliwości społecznej". Zwracają w nim na wstępie uwagę na to, iż wszelkie pomysły dążące do ograniczenia imigracji pochodzą przeważnie z kół komunistycznych, które konsekwentnie pragnęłyby zamknąć drzwi przed uchodźcami. Dalej wskazują biskupi australijscy na błędy popełnione w dotychczasowej polityce imigracyjnej ich rządu, pisząc dosłownie tak:

„Dotychczasowa polityka emigracji do Australii była oparta na pewnym egoizmie. Starano się bowiem o sprowadzanie zdrowych i młodych fachowców rozmaitych narodowości, ale odmawiano przyjęcia członków ich rodzin, gdy byli chorzy lub tylko nie całkiem zdrowi".

„Z duchowego punktu widzenia taka polityka musiała nieuchronnie prowadzić do moralnych nieporządków."

W konsekwencji domaga się Episkopat Australii sprowadzania nowych emigrantów wraz z rodzinami oraz dopuszczenia do Australii pewnej ilości młodych kobiet z tych narodowości, z których pochodzą już osiedli imigranci, którzy nie mogli dotychczas założyć rodzin z powodu braku odpowiednich kandydatek na żony.

Taktykę wybierania tylko jednostek zdrowych i ze zdrowymi rodzinami stosowały także inne kraje, ze Stanami Zjednoczonymi na czele, i wskutek niej właśnie wśrod „emigrantów niepożądanych" pozostali w Niemczech ludzie wartościowi, którzy nie mogli emigrować tylko dlatego iż film roentgenowswki wykazał plamy na płucach ojca ,rodziny lub kogoś z jej członków. A że przeważnie rodziny, mające za sobą rozłąkę lat wojny, nie chciały się rozdzielać, padały one ofiarą tej polityki. Dlatego mamy do dziś w Niemczech nie załatwioną sprawę wielu takich rodzin uchodźczych, które wbrew swej woli przebywają tam od dziesiątka lat, podczas gdy przed światem stanęły już problemy najświeższej emigracji węgierskiej. I nic nie świadczy o tym, aby się ktoś miał zainteresować losem tamtych ludzi.

Co prawda przed paru tygodniami na konferencji w sprawach uchodźczych, wysoki komisarz ONZ dla uchodźców ,p. August Lindt, wyraził przekonanie, że do kilku lat, całe to zagadnienie powinno ulec rozładowaniu, ale nie wiem, czy myślał o uchodźcach najnowszych, czy też o zlikwidowaniu wszystkich jeszcze istniejących starych problemów, a więc i sprawy tych ludzi w Niemczech, „których nikt nie chce". Obawiam się, że raczej o tych dawnych nie pomyślał.

Na odbytym niedawno w Asyżu Międzynarodowym Kongresie M.gracyjnym zabrał głos tenże komisarz Lindt i ujął zagadnienie nie tylko od strony charytatywnej, ale również od strony praktycznej, wykazując, iż — jak dotychczas — kraje, które przyjęły uchodźców, nieźle na tym materialnie wyszły. I tak np. w Stanach Zjednoczonych obliczono, iż świeży dopływ uchodźców z Węgier wyraził się powiększeniem produkcji, ocenianym na 30 milionów dolarów. W ogóle zaś koszty migracji uchodźców, nawet do najbardziej odległych krajów czy części świata, opłacają się bardziej niż utrzymywanie ich w obozach. Utrzymanie bowiem tysiąca uchodźców w obozie kosztuje do 37 tysięcy dolarów miesięcznie, a więc prawie pół miliona rocznie, podczas gdy transport takiej ich liczby do jednego z krajów europejskich wynosi od 25 do 30 tysięcy dolarów, do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej — 180 tysięcy dolarów, a do Australii 320 tysięcy dolarów.

P. Lindt stwierdził dalej z zadowoleniem, iż ostatnio zarówno w opinii społeczeństw na Zachodzie, jak i w kołach rządowych wielu krajów, daje się zauważyć pewna korzystna zmiana, gdyż coraz częściej wysuwa się postulat stosowania bardziej liberalnych zasad doboru i dopuszczania uchodźców. Nadszedł zatem czas, abyśmy wszyscy starali się mocniej poruszyć opinię publiczną, jak też popierać wszystkie te wysiłki i posunięcia, które mogą szerzej otworzyć drzwi dla uchodźców — zakończył p. Lindt.

W tej atmosferze, która sprz,yjać ma szerszemu otwarciu drzwi, trzeba przypomnieć o losie naszych rodaków w Niemczech, którzy jeszcze pragną i mogą opuścić ten kraj i polepszyć swe warunki. Chodzi bowiem o ratowanie tych ludzi, jeśli już nie ze względu na nich samych, to przez wzgląd na ich dzieci, wzrastające w warunkach, w których są zagrożone istotne wartości ludzkie.

A tego nie zrobi nikt bez naszego polskiego współudziału, bez danych statystycznych i informacyj, ukazujących ilościowy i jakościowy charakter zagadnienia. Sprawa to zarówno polskich organizacyj w Niemczech jak i wszystkich innych na emigracji.

J. Cz.

pisarzem. Miły to ujmujący człowiek, cieszył się nami tak samo serdecznie jak i my jego wizytą.

Wiemy o ciężkich latach, jakie Zawieyski przebył w okresie stalinowskim, kiedy to przez wszystkie te lata milczał, aby pozostać sobą. To właśnie podkreślił przede wszystkim przewodniczący wieczoru Tymon Terlecki, witając gościa w imieniu nas wszystkich i wyrażając mu najwyższy nasz szacunek za tę niełatwą postawę. Pamięć o tej właśnie postawie zwielokrotniła radość wzajemnego po latach spotkania.

W odpowiedzi Zawieyski w sposób prosty i serdeczny zaznaczył, że uczucia nasze podziela, że czuje się między nami jak w gronie rodzinnym, bo zresztą pisarze polscy to przecież jedna rodzina, nie ma dla niego podziału na pisarzy krajowych i emigracyjnych, są tylko pisarze polscy, literatura polska jest niepodzielna. To istotnie wielka dla niego jest rzecz, że po ośmiu latach milczenie może znowu pisać, chciałby pisać jak najlepiej, ale jakkolwiek by wypadła ocena jego zasługi pisarskiej — nie ją stawia na pierwszym planie, lecz wierność sobie i przyjętym za swoje ideałom.

Następnie pisarz odpowiadał na pytania, które dotyczyły sprawy dopuszczenia książek i pism emigracyjnych do Kraju, prądów, które przenikają piśmiennictwo krajowe w chwili obecnej, prac wydawniczych w Kraju, trudności na jakie napotyka poważna twórczość krajowa wobec popularności „czarnej" literatury sensacyjnej, tłumaczonej z literatur obcych. Jednych interesowały znów zagadnienia techniki wydawniczej, nakłady książek, inni chcieli się dowiedzieć jak stoi w Polsce sprawa przekładów z literatury zachodniej. Gość nasz odpowiadał cierpliwie i w miarę możności obszernie.

Wyłoniły się w czasie tego wieczoru pewne różnice zdań w rozmowie na temat twórczości młodych pisarzy krajowych. Dyskusja trwała głównie między Marianem Czuchnowskim a p. Sito i p. Czaykowskim. W odpowiedzi przemówił ponownie Zawieyski podkreślając żywotność i różnorodność procesów kulturalnych w Kraju.

Wieczór u Lotników był przeznaczony dla szerszej publiczności. Po słowie powitalnym p. Gimzy i przemówieniu p. Taborskiego, zabrał głos Jerzy Zawieyski podkreślając jak bardzo jest rad, że może brać udział w wieczorze urządzonym przez młodzież i przedstawiając swoje credo pisarskie w którym wierność sobie i przyjętym za młodu ideałom na pierwszym i tutaj postawił miejscu. Odczytał następnie nowelę swoją p.t. „Wizyta prezydenta", w której dał bardzo typowy dla jego twórczości obraz spraw rodziny, stając całym sercem po stronie pokrzywdzonych. Czytał pięknie, co nas nie zdziwiło, bo znamy jego studia aktorskie i pracę z teatrem we Francji w czasach przedwojennych. Zawieyski reprezentuje w tym co pisze najpiękniejsze ideały chrześcijańskie, a przy tym barwny ma język i świetną konstrukcję w swych utworach. Jego poematy a także fragmenty dłuższych prac i dramatu czytali po przerwie aktorzy: p. Kora Brzezińska i Sheybal, jak również i p. Bolesław Taborski.

Sala była przepełniona, procentowo najwięcej przyszło młodzieży.

Stefan Legeżyński

R O Z P O W S Z E C H N I A J
W Ś R Ó D
S W Y C H
Z N A J O M Y C H »ŻYCIE«

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

ROK XI — NR 40 (537) LONDYN, NIEDZIELA, 6 PAŹDZIERNIKA 1957



W dniu 30 września obchodzono w Lisieux sześćdziesięciolecie śmierci św. Teresy od Dzieciątka Jezus. Na uroczystość przybył z Rzymu kardynał Alfredo Ottaviani, podsekretarz św. Kongregacji św. Oficjum. W sześćdziesiątą rocznicę śmierci św. Teresy z Lisieux zbiega się wydanie w polskim przekładzie jej „Dziejów duszy".

W BIEŻĄCYM NUMERZE:

ŻYCIE KRAJU

W IMIĘ REALNEJ OCENY SYTUACJI

(NA ODCINKU NAUKI POLSKIEJ)

Tak zwana destalinizacja nauki polskiej — jak można wywnioskować z popaździernikowej działalności Polskiej Akademii Nauk — postępuje w tempie znacznie wolniejszym od zmian w dziedzinie literatury i sztuki. Jedynym wyrazem „buntu" było tutaj usunięcie naukowego Quislinga, prof. Dembowskiego, prezesa stworzonej w r. 1951 Polskiej Akademii Nauk, i wybranie na jego miejsce prof. Tadeusza Kotarbińskiego.

Nowy prezes Akademii ogłosił w „Trybunie Ludu" z 22 lipca b.r. artykuł pt. „Zmiany i niezmienniki w organizacji badań naukowych", z którego można niemało dowiedzieć się o tym, co złego było w przeszłości, mniej jednak na temat zmian na lepsze w okresie obecnym. Dane o latach ubiegłych zawierają jednak wcale ciekawe informacje o polityce „odgórnego kierowania nauką polską". Oczywiście, domyślaliśmy się że tak było a nie inaczej, ale co innego domysł, a co innego autorytatywne stwierdzenie. Pisze więc prof. Kotarbiński, że tak niedawno jeszcze wymagano od poszczególnych osób, by się przestawiły na tory określonej metodologii, żądano od autorów werbalnego deklarowania solidarności z takim a nie innym prądem ideologicznym, dając nieraz do zrozumienia, że praca nie ukaże się w druku jeżeli „to" lub „tamto" nie będzie w niej dodane, ten i ów autorytet jak należy pochwalony lub przynajmniej zacytowany. Badaczom wyznaczano tematy z góry i sposób podejścia do nich; odrzucano prace badawcze, w których myśl indywidualna szła swoim torem, a nie wytyczonym centralnie, nie ręka w rękę z doktryną. Ciężko też było ze swobodą w doborze zagadnień: obstawano uparcie przy założeniach przewodnich „jawnie pomylonych".

Okres „odgórnego kierowania". Dla pełnego zrozumienia przemian, jakie przeżyła nauka polska od czasu opanowania wszelkich dziedzin życia przez tzw. władzę ludową, cofnijmy się do roku 1946, kiedy to Krakowska Akademia Umiejętności wspólnie z profesorami uniwersytetu Jagiellońskiego zwołała do Krakowa pierwszy po wojnie zjazd polskich naukowców. Celem tego zjazdu była rekonstrukcja nauki polskiej i organizacja szkolnictwa wyższego w uwolnionej od Niemców Polsce.

Na zjazd przybyli pozostali przy życiu zasłużeni ludzie polskiej nauki, wycieńczeni obozami koncentracyjnymi, ale nie pozbawieni nadziei iż mimo wszelkich nowych przeciwności, z jakimi im przyjdzie się borykać, zdołają jednak zapewnić nauce polskiej niezależny rozwój, a młodzieży jak najwyższy poziom studiów. Stało się inaczej.

Wśród zebranych w Krakowie profesorów znalazł się także prof. Dembowski, biolog, wykładający przed wojną na uniwersytecie łódzkim. Okazało się, wbrew wszelkim oczekiwaniom, że był on delegatem narzuconego Polsce reżymu, i że przybył na zjazd nie tylko po to, by oznajmić kolegom, że nauka polska wchodzi w „nowy okres" i że na całkowicie innych niż przed wojną zostanie oparta podstawach, ale jak to się później okazało w skutkach — ustalił równocześnie w czasie trwającej na zjeździe dyskusji — nazwiska kolegów stanowiących w „nowej" Polsce t.zw. element reakcyjny. Niedługo też potem przeprowadzono na wyższych uczelniach poważne zmiany personalne. Miały one pójść dalej, w miarę jak prof. Dembowski rozwijał swoją działalność. Przyspieszał on jak mógł postępujący opornie proces sowietyzowania nauki polskiej, zabiegając o zgrupowanie koło siebie większości, która by ułatwiła mu powołanie do życia nowej, „postępowej" akademii nauk, zorganizowanej według wzorów sowieckich.

Przedmiot ten — również według wzorow sowieckich — przedyskutowano na 700 zebraniach, zgromadzono 1,300 sprawozdań. Zebrania wybrały delegatów do „komisji organizacyjnej". M.in. zwołano zjazdy lekarzy, filologów i historyków, na których Dembowski przedstawiał Stalina jako „geniusza jasnej myśli". Wiadomo — jak wyglądała swoboda wypowiedzi na ówczesnych masowych zjazdach czy wiecach.

Na organizowanych przez siebie zebraniach Dembowski przedstawiał słuchaczom nowe założenia i wytyczne postępowej nauki polskiej. W r. 1952 ogłosił je drukiem w periodyku „Nauka w nowej Polsce". Na wstępie potępia tam raz jeszcze profesorów krakowskich (których w międzyczasie usunięto z Uniwersytetu Jagiellońskiego i innych wyższych uczelni), wytykając im reakcyjne stanowisko w stosunku do nowej polskiej socjalistycznej rzeczywistości. Czyż można im darować, że w czasie zjazdu w Krakowie ani razu nie wspomnieli o Związku Sowiec-

kim? Że odważali się ciągle mówić o łączności kulturalnej z Zachodem? A znalazł się — o zgrozo — wśród potępionych naukowców profesor, który na wywody Dembowskiego ośmielił się odpowiedzieć: „Za naciśnięciem guzika nie wprowadzi się w Polsce materializmu dialektycznego."

To Dembowski przede wszystkim dbał o to, żeby wpływy sowieckie przenikały do polskich uczelni bez przeszkód, w sposób sprawnie zorganizowany. Propagował przyjazdy instruktorów z Moskwy, wyjazdy młodzieży studenckiej z Polski do uczelni sowieckich. „Oto mamy — przypominał skwapliwie — Łysienkę, Miczurina, Pawłowa, Lepieżyńską, którzy chcą nam pomóc, naszej nauce". „My, uczeni polscy, przyjmujemy ich pomoc otwartymi rękami, bo pochodzi ona z państwa socjalizmu, z państwa, które zmienia klimat i przeobraża ugory w najlepszą glebę, z kraju, który przynosi szczęście dla przyszłych pokoleń".

Kulisy powstania „Polskiej Akademii Nauk". Nie krył się z tym wcale, że zmierza do zlikwidowania Krakowskiej Akademii Umiejętności i Warszawskiego Towarzystwa Naukowego, przeciwnie podkreślał to w swych wywodach, że rola tych dwu zasłużonych instytucji naukowych jest już skończona. W dniu 29 czerwca zwołał do Warszawy Kongres Naukowców Polskich, na którym już wszystko odbyło się gładko: sam na kongresie tym przewodniczył i w długim przemówieniu nakreślił przyszłe zadania nowej Akademii Nauk. Wzory zachodnie miały być oczywiście odrzucone jak najdalej, praca nowej instytucji czerpać będzie przykłady jedynie z demokracji ludowych, a w szczególności z tej, która jest wzorem wszystkich wzorów. Do Akademii będzie należało między innymi zwoływanie zjazdów naukowych, nadawanie kierunku ich dyskusjom. W zjazdach naukowców mieli w przyszłości uczestniczyć przedstawiciele klasy pracującej, racjonalizatorzy, stachanowcy, a co pewien czas zjazd miał mieć charakter olimpiady, która da okazję wykrywania nowych talentów. Cóż więcej charakterystycznego? Chyba to, że w dziedzinie badań naukowych miało tak jak i w fabrykach obowiązywać współzawodnictwo pracy. Wszelkie publikacje naukowe musiały uzyskiwać aprobatę przyszłej Akademii, ogłaszanie badań w drodze prywatnej nie będzie tolerowane. I tak dalej i tak dalej za przykładem sowieckim...

Skończywszy wywód, prof. Dembowski oświadczył, iż wymienione zasady stanowią w sumie projekt statutu nowej Akademii Nauk, a ponieważ obecni zgadzają się z samymi zasadami, więc tym samym zgadzają się na statut, zaś gdy już statut został w ten sposób uchwalony, to któżby wątpił w uzyskanie całkowitego uznania dla samego projektu otwarcia nowej Akademii.

W tym samym mniej więcej trybie doszło do uchwalenia na Sejmie, 30 października 1951 roku, ustawy o powołaniu do życia „Polskiej Akademii Nauk", do której Bierut mianował pierwsze prezydium z prof. Dembowskim na czele. Do listy nominacyjnej tak został wpisany: „Jan Dembowski, profesor uniwersytetu łódzkiego, wybitny uczony". Rząd komunistyczny nie żałował mu też wysokich odznaczeń.

Burza październikowa w Polsce wymiotła z prezesury w nowej Akademii jej głównego twórcę, jest już w niej inny przewodniczący. Czytając z zainteresowaniem wszystkie podane przez niego w „Trybunie Ludu" szczegóły dotyczące niechlubnej działalności prof. Dembowskiego, żałujemy, że tak niewiele pisze prof. Kotarbiński o czasie teraźniejszym i o planach na przyszłość. Dlaczego na przykład mówiąc o obowiązujących nadal w Akademii uchwałach i zarządzeniach nadających tej naukowej bądź co bądź instytucji charakter urzędu państwowej cenzury, nie wspomina ani słowem o tym czy nowe kierownictwo zamierza zarządzenia te ze statutu Akademii wyrugować i w jaki sposób to chce przeprowadzić. Oczywiście, można podejmować rewolucyjne nawet zmiany bez ogłaszaniu planu działania, ale trudno nie pamiętać o tym, że nowy prezes nie wahał się ogłosić programu zamierzonych prac gdy chodziło o podjęcie przez Tow. Ateistów i Wolnomyślicieli na szeroką skalę zakrojonej walki o szkołę bezwyznaniową. Jeśli wypowiada się tak jasno jako prezes Towarzystwa Ateistów i Wolnomyślicieli, to tym bardziej niepokojące może się nam wydawać jego milczenie na temat przyszłości polskiej nauki. Niepokój byłby już usprawiedliwiony przez samą myśl, że opiekę nad nauką polską, która na chrześcijańskich chce się opierać fundamentach, sprawuje prezes zorganizowanych ateistów.

A poza tym trudno zapomnieć, że chociaż skompromitowany prof. Dembowski nie jest już prezesem nowej Akademii, to jednak zasiada dalej w jej gronie tak, jak tkwią w niej też nadal wszystkie grzechy ustroju, który tę instytucję zrodził.

Jako jedyne dodatnie zmiany na odcinku nauki w okresie popaździernikowym cytuje prof. Kotarbiński prawo do korzystania z zasobów bibliotecznych „zastrzeżonych", co niewątpliwie bardzo ułatwi pracę ludziom nauki, jak również poniechanie pewnych utrudnień przy sprowadzaniu książek i czasopism zagranicznych. Widocznie jednak dużo jeszcze tych utrudnień zostało, bo — jak ogólnie wiadomo — ograniczenia w sprowadzaniu książek z zagranicy istnieją w dalszym ciągu. I gdzież tu mówić o niezależności polskiej nauki w takich warunkach? I czy w ogóle można mówić o niej dopóki pełna i nieskrępowana działalność Krakowskiej Akademii Umiejętności nie będzie wznowiona? Rzecz prosta, sytuacja na odcinku nauki polskiej wynika z ogólnej sytuacji, w jakiej Polska się dzisiaj znajduje, a jest to stan daleki od pełnej niezależności. Czy jednak i w tych warunkach nie za wiele jest biernego akceptowania istniejącego stanu rzeczy? Nie jest to na pewno postawa, która by sprzyjała jakimkolwiek bądź dalszym osiągnięciom w tej dziedzinie.

A. Z.

ZAMIARY I PLANY ATEISTÓW W POLSCE

„Sztandar Młodych" opublikował w numerze z dnia 4 września wywiad z prof. Andrzejem Nowickim, przewodniczącym tymczasowego zarządu głównego tzw. Stowarzyszenia Ateistów i Wolnomyślicieli, organizującego się w Kraju od kilku miesięcy. Prof. Nowicki przyznał, że na razie wśród członków przeważa inteligencja, nauczyciele, publicyści, studenci, lekarze. Grupa zamierza wydawać dwutygodnik pt. „Argumenty", w którym mają się ukazywać artykuły „popularyzujące racjonalistyczną myśl polską i obcą, ateistyczne i wolnomyślicielskie tradycje... korespondencje o Watykanie i kościołach innych wyznań, a także o rozwoju wolnomyślicielstwa w różnych krajach... Wiele miejsca zajmie problematyka historyczna, omawiająca dzieje Kościoła w Polsce i stosunki polsko-watykańskie..." Dwutygodnik obliczony jest na czytelników „zarówno wierzących jak i niewierzących..."

Już dotychczas zdołano nawiązać łączność i nawet bliższe stosunki z ateistami Moskwy, Leningradu, Anglii i Niemiec, „od których otrzymujemy czasopisma i książki wolnomyślicielskie — mówi profesor i dodaje, iż „istnieje pewna niechęć i rezerwa części inteligencji niewierzącej do stowarzyszenia..."

Wolnomyśliciele i ateiści zawsze stanowili w Polsce bardzo nieliczną grupę. Nie wzrosną w siły i dzisiaj, tym bardziej, że natchnienia szukają w Moskwie i Leningradzie.

CORAZ WIĘCEJ ODWAGI W ODRZUCANIU BIBUŁY KOMUNISTYCZNEJ

Jak wynika z danych miesięcznika krajowego „Prasa Polska", pisma partyjne coraz mniej znajdują w Polsce odbiorców. W porównaniu z grudniem 1956 roku prenumerata pism partyjnych w maju roku bieżącego spadła ogółem o 479.000, czyli o 51%, gdy prasie niepartyjnej przybyło w tym samym okresie czasu 145.000 prenumerat. Szczególnie znaczny ubytek prenumeratorów zaznacza się w czasopismach kulturalnych, przeznaczonych dla wsi. Dowiadujemy się, że np. „Gromada" miała w grudniu ubiegłego roku 955.000 abonentów, a w czerwcu roku bieżącego już tylko 552.000; „Chłopska Droga" — z 1.044.000 spadła do 611.000; „Nowa Wieś" — z 207.000 do 98.000, a „Przyjaciółka" — z 32.000 do 26.000. W sumie — tylko cztery wymienione dla przykładu pisma straciły prawie milion abonentów, co świadczyłoby o tym, że ludność w Polsce coraz odważniej odrzuca od siebie to co sercu niemiłe.

POLSKA IMPORTUJE WODĘ Z KOPENHAGI

Nie jest to żadna przez „redakcję" wymyślona bajka, lecz smutna prawda, podana w słuchowisku radia warszawskiego w dniu 14 września. Szczecin jest bez wody. Było jej tam zawsze w bród, słodkiej i czystej. Zabierały ją stamtąd bez ograniczenia statki morskie płynące w dalszą drogę lub wracając z dalekich podróży. Zatrzymywało się ich dawniej w Szczecinie sporo, teraz zatrzymuje się coraz mniej, bo rozszerza się wiadomość o braku wody w porcie. Gdzież się woda ze Szczecina podziała, przecież Odra nie wyschła ani też pobliskie jezioro dąbskie. Więc co? Rzecz w obecnej Polsce bardzo zwykła: popsuły się rury wodociągowe doprowadzające wodę do portu. Popsuły się i nikt się nie zabiera do reperacji. Mówi się, że nie ma na to pieniędzy, z czego każdy fachowiec zagraniczny się śmieje, bo za wodę obce statki płaciły twardą walutą i koszt wybudowania nawet nowego rurociągu zwróciłby się w krótkim czasie i to z nadwyżką.

Na swoje, miejscowe potrzeby, sprowadza się dla Szczecina codziennie statkiem 400 ton wody ze Świnoujścia, co zresztą z trudem wystarcza. Gorzej jest, gdy się zdarzają jeszcze zapotrzebowania ze strony statków obcych. Ostatnio, jeden ze statków chińskich chciał nabyć w Szczecinie 150 ton wody słodkiej. Co robić? Jak odmówić wody chińskiemu przyjacielowi? Ani rusz nie wypada! I Szczecin posyła po wodę do Kopenhagi, żeby to zapotrzebowanie zaspokoić, płacąc w koronach duńskich. Podobno, ostatnio i w Świnoujściu zabrakło wody. Nawet polskie statki rybackie wypływając na pełne morze zmuszone są zaopatrywać się w wodę w portach zagranicznych, głównie w Danii, oczywiście nie za darmo.

ŻYCIE KATOLICKIE

O POWRÓT ODŁĄCZONYCH BRACI WSCHODU

Trzy lata temu minęło dziewięć wieków od nieszczęsnego rozdarcia między Wschodem a Zachodem, od schizmy Cerulariusza w 1054 roku.

Ze Wschodu przyszło Światło. Ex Oriente Lux. Na Wschodzie żył, działał, poniósł śmierć męczeńska na krzyżu i zmartwychwstał Jezus Chrystus. Na Wschodzie: w Małej Azji, na wyspach Morza Egejskiego, w Grecji i Egipcie były kwitnące gminy chrześcijańskie, założone przez świętych Piotra, Pawła, Jana, Marka i innych Apostołów. Tam na Wschodzie zajaśniało chwałą męczeństwa wielu chrześcijan z „synami gromu" świętym Jakubem Większym i Janem, św. Ignacym antiocheńskim, św. Polikarpem smyrneńskim na czele. Tam na Wschodzie opromienili Kościół swym geniuszem i nauką wielcy Doktorowie Kościoła święci Atanazy, Bazyli, Cyryl aleksandryjski, Cyryl jerozolimski, Efrem, Grzegorz z Nazjanzu, Jan Chryzostom, Jan damasceński. Tam na Wschodzie odbyły się oprócz apostolskiego Soboru w Jerozolimie dwa nicejskie, cztery konstantynopolitańskie, jeden efeski, jeden chalcedoński.

Przyszła tragedia roku 1054 i rozerwała Kościół na dwie części, aczkolwiek prawie tę samą naukę głoszące i przyjmujące te same Sakramenty. Ale też zaraz rozpoczęły się zabiegi Kościoła Zachodniego o powrót do jedności z nim Kościoła Wschodniego. O tym niech świadczą między innymi starania św. Grzegorza VII (1073-1085), Lucjusza III (1181-1185), Innocentego III (1198-1216), Innocentego IV (1243 - 1254), Grzegorza X (1271-1276), Eugeniusza IV (1431-1447) i innych, a w czasach najnowszych wszystkich papieży — od Sługi Bożego Piusa IX (1846-1878) do obecnego Ojca św. Piusa XII! Niech świadczą Sobory dwa lyońskie (1245 i 1274), florencki (1438 - 1445), watykański (1869 - 1870)! Nad zbliżeniem obu Kościołów pracowało wiele potężnych umysłów dziewięciu wieków, a tylko Opatrzność Boża potrafi swym okiem dojrzeć wszystkie modlitwy i cierpienia ofiarowane Bogu za powrót odłączonych braci Wschodu.

Do kierowania zbiorowymi wysiłkami powołał Pius IX w roku 1862 św. Kongregację dla Kościoła Wschodniego, łącząc ją ze św. Kongregacją de Propaganda Fide, ale Benedykt XV w roku 1917 uczynił ją niezależną, a Pius XI w roku 1938 rozszerzył znacznie jej kompetencje. Tenże papież powołał do życia w roku 1930 Komisję Papieską dla Rosji i zarządził, by modlitwy po cichej Mszy świętej były odmawiane za Rosję. Popierają też ostatni papieże starania zakonów przygotowujących się do nawracania Rosji, wydawanie pism periodycznych zajmujących się sprawami dotyczącymi Unii, organizowanie się ruchu unionistycznego. W tym ostatnim zakresie zasługuje na uwagę ruch, którego w roku bieżącym przypada 50-lecie istnienia. U kolebki tego ruchu stało dwóch arcybiskupów: Andrzej Szeptycki, arcybiskup lwowski i Cyryl Stojan, arcybiskup ołomuniecki, których procesy beatyfikacyjne są w przygotowaniu. W Velehradzie na Morawach było centrum tego ruchu unionistycznego, a w roku 1907 pod przewodnictwem arcybiskupa Szeptyckiego odbył się pierwszy Kongres Unionistyczny w tymże mieście. Ponieważ w Czechosłowacji rząd nie pozwala na dążenia do unii Kościoła prawosławnego z Kościołem katolickim, ruch przeniósł swą działalność do Stanów Zjednoczonych, gdzie też obecnie odbył się II Kongres Unionistyczny w Lisle w stanie Illinois. W kongresie wzięli udział arcybiskup Chicago kardynał Samuel Stritch, arcybiskup Pekinu kardynał Tomasz Tien, arcybiskup tytularny Amleto Giovanni Cicognani, delegat apostolski w Stanach Zjednoczonych, biskup tytularny Roman Robert Atkielski, pomocniczy arcybiskupa Milwaukee, biskup tytularny Wincenty Brizgys, pomocniczy arcybiskupa Kowna. Kardynał Stefan Wyszyński w piśmie swym zapewnił o szczególnych modłach swoich w Częstochowie za powodzenie kongresu. Wiceprezydent Stanów Nixon w telegramie do kongresu oświadczył, że modlitwa jest najskuteczniejszą bronią dla utrzymania pokoju, a sprawa uwolnienia około 900 milionów ludzi od tyranii komunistycznej zasługuje na to by za nich się modlono.

Na kongresie wygłoszono następujące referaty: „Moskwa — Trzeci Rzym" (o. Olsr, jezuita); „Rezultaty praktyczne badań historii orientalnej dla unii chrześcijańskiej" (ks. Dvornik, docent uniwersytetu Harvard); „Matka Boska Matką Unii" (o. Crany, franciszkanin); „Pojęcie rytu i jedności Kościoła" (o. Sherwood, benedyktyn). Ponadto, o prześladowaniu w Chinach mówił arcybiskup Nankinu Paweł Yu Pin, o Kościele — o. Rock, dominikanin, o skłanianiu się prawosławnych do unii — prof. E. Denisoff, o historii kongresów welehradzkich i o arcybiskupie Stojanie — o. Olsr, o unionistycznych pracach jezuitów — o. Mailleux, o osobistych kontaktach katolików i prawosławnych — ks. Shereghy, o stanie duchowym emigracji rosyjskiej — ks. Rocheau, o arcybiskupie Szeptyckim — książe Sapieha. Oczywiście, w czasie kongresu odbywały się Msze święte w obrządku wschodnim i modły zanoszono za Kościół Milczenia.

Dr W. Jelonek

„ACTA APOSTOLICAE SEDIS"

Nr 8 z 22 lipca podaje m. in.: list apostolski ustanawiający św. Benedykta, opata, Patronem niebieskim włoskich speleologów (na ich prośbę); list do arcybiskupa Mediolanu Montiniego z powodu 100-letniej rocznicy urodzin Piusa XI; przemówienie Papieża (w języku włoskim) do prawników włoskich o chrześcijańskiej pomocy więźniom odsiadującym karę; przemówienie Papieża (w języku portugalskim) przez radio do III Kongresu Apostolstwa Modlitwy w Braga w Portugalii; przemówienie Papieża (w języku włoskim) do uczestników uroczystości obchodu 450-lecia śmierci św. Franciszka di Paola, Patrona żeglarzy; dekret św. Kongregacji Rytów w sprawie przechowywania Najśw. Sakramentu i urządzenia tabernakulum; dwie modlitwy ułożone przez Papieża, do Matki Boskiej z Lourdes i do odmawiania przez lekarzy, obydwie obdarzone odpustami; odpust zupełny za udział przez 12 niedziel w pobożnych ćwiczeniach na cześć misteriów Dziecięctwa Pana naszego Jezusa Chrystusa.

Nr 9 z 15 sierpnia na 168 stronach podaje list apostolski motu proprio „Cleri sanctitati" o obrządkach wschodnich i osobach w kościołach wschodnich; przepisy ujęte w 558 kanonach wchodzą w życie z dniem 25 marca 1958 roku.

NAUKA I TECHNIKA

INSPEKCJE POWIETRZNE

Napisał TADEUSZ FELSZTYN

Odrzucone przez Rosję zachodnie propozycje rozbrojeniowe zawierały punkt, któremu — zwłaszcza Amerykanie — przypisują bardzo duże znaczenie: inspekcje powietrzne. Ci, którzy pamiętają olbrzymią rolę, jaką odgrywało maskowanie podczas drugiej wojny swiatowej, nie mówiąc już o pierwszej, na pewno wzruszą ramionami. Metoda maskowania chyba posunęła się od tego czasu naprzód, cóż więc dać może inspekcja powietrzna poza tym, co strona przeciwna zechce sama pokazać? A jeśli do tego przypomnimy sobie, że bitwę pod El Alamein wygrał Montgomery w dużym stopniu dzięki swemu znakomicie pomyślanemu i przeprowadzonemu planowi mylenia, w którym sztuczne, drewniane i kartonowe przedmioty, niby nowoczesne domki potiemkinowe, odegrały dużą rolę, to czyż najskrupulatniejsza nawet inspekcja powietrzna nie będzie tylko źródłem fałszywych informacji, celowo i sprytnie zestawianych przez tych, którym zależy na wprowadzeniu przeciwnika w błąd? Czyżby więc Amerykanie naprawdę byli aż tak naiwni, by upierać się przy środku tak niedoskonałym i tak zawodnym?

Odpowiedź na to pytanie leży w olbrzymich postępach, jakie technika fotograficzna uczyniła w ciągu ostatnich 12 latach po wojnie, postępach, które przekreśliły bez reszty najlepsze nawet metody maskowania.

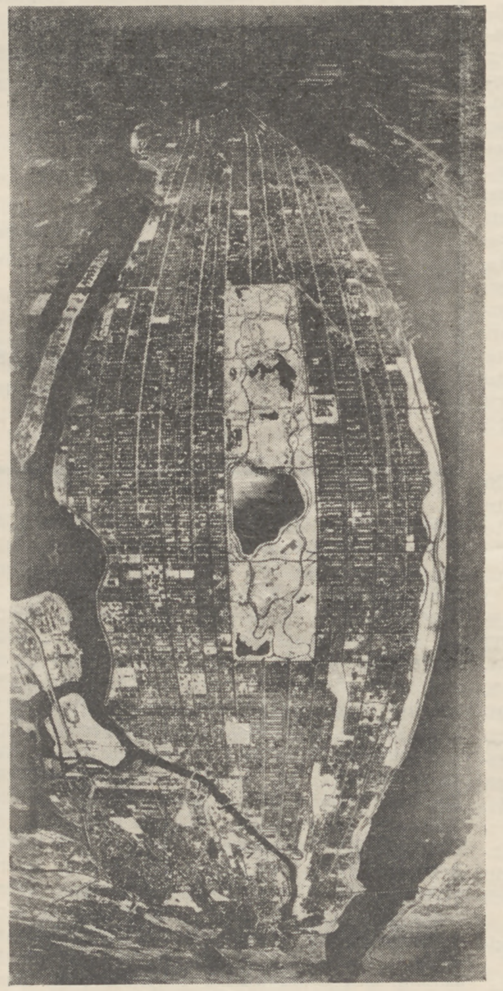
W pierwszym rzędzie czułość emulsji fotograficznej wzrosła do tego stopnia, że sprzeczne dotąd wymagania krótkiego czasu naświetlania i drobnoziarnistej emulsji, a więc możności silnego powiększenia, nie stanowią już więcej przeszkody. Przykładem może być zdjęcie samolotu na lotnisku, dokonane z drugiego samolotu, lecącego na wysokości 60 stóp z szybkością 525 mil na godzinę. Przy tej wysokości, tej szybkości i przy ogniskowej soczewki, użytej w tym aparacie, punkt na kliszy obrazu porusza się z szybkością jakich 120 centymetrów na sekundę. A jednak przy dziewięciokrotnym powiększeniu zdjęcie jest tak ostre, że można zobaczyć każdy nit na samolocie!

Ta czułość powoduje, że nawet przy locie na znacznych wysokościach można na kliszy wyczytać szczegóły aż zadziwiająco dokładne.

I tak np. zdjęcie dokonane z wysokości 2000 stóp może, przy stokrotnym powiększeniu, dać widok zupełnie taki sam, jak z wysokości 20 stóp zwykłym aparatem. Widok jest może nieco zamazany, pozwala jednak mimo tego doskonale zidentyfikować poszczególne ozdoby, ich ubiór, zajęcia, wiek i płeć.

Co więcej, z wysokości dwudziestokrotnie większej, 40.000 stóp, a więc prawie 8 mil (12 km), można — przy odpowiednim powiększeniu — ujrzeć poszczególne osoby. Dokładna analiza fotografii pozwoliłaby np. odczytać wiele szczegółów o rodzinie zamieszkującej jeden z domków, widocznych na tym zdjęciu. Można by trafnie odgadnąć zamożność tych ludzi, rodzaj ich zajęć, wiek ich domu, ba nawet wywnioskować czy dom ich ma podziemny zbiornik i czy ma telefon. Niedyskretne oko aparatu mogłoby nawet wyliczyć poszczególne sztuki bielizny, suszącej się na ich podwórzu.

Nie dziw więc, że temu, kto ma wprawne oko, zdjęcie dokonane z tak dużej wysokości może odpowiedzieć na pytania co do charakteru i przeznaczenia budynku miasta, czy też zakładu przemysłowego. Aby przekonać się, jaka jest dokładność informacyj, uzyskanych w ten sposób, dokonano z dużej wysokości zdjęcia dzielnicy miasta Dayton w Stanach Zjednoczonych. Zdjęcie to dano wykwalifikowanym pracownikom do odcyfrowania i następnie porównano z rzeczywistym stanem rzeczy na miejscu. Zgodność była zdumiewająca. Interpretacja zdjęć nie tylko że dokładnie ustaliła przeznaczenie każdego budynku, jego typ, charakter i przypuszczalny wiek, ale potrafiła odgadnąć takie szczegóły, jak podziemne linie telefoniczne i oświetleniowe, sposób ogrzewania poszczególnych budynków, typy samochodów



Fotografia powietrzna Nowego Jorku i okolicy. Zdjęcia dokonano przy pomocy kamery perspektywicznej.

posiadanych przez mieszkańców, gdzie znajduje się garaż wbudowany w dom, gdzie są sypialnie, a gdzie jadalnie i tzw. living room, z jakich domów najczęściej wyjeżdżają samochody itp. Oczywiście doskonale widać każdą osobliwość tych budowli, jak np. płaski dach wśród dachów stromych, wszelkie prace ziemne w toku, a nawet czy pewne drogi są często uczęszczane, czy też przeważnie bez zastosowań.

Jasną jest rzeczą, że tego rodzaju interpretacja zakładu przemysłowego wyjawi wprawnemu oku nie tylko dokładne rozłożenie poszczególnych budowli, ale również ich przeznaczenie i stopień zatrudnienia w poszczególnym dziale fabrycznym, a znajomość procesów technologicznych poszczególnych zakładów bez trudności pozwoli rozeznać do jakiego celu służy dany zakład i jaka jest jego produkcja.

Obok zdjęć pionowych, zdjęcia ukośne mogą wyjawić wiele nowych szczegółów, jak np. wejścia do podziemi, zasłonięte korytarze, ba, nawet rodzaj uprawy rolnej. Tam wreszcie, gdzie zdjęcia pionowe i ukośne mogą pozostawić jakieś wątpliwości, rozwiązuje je zdjęcie panoramiczne, wyjawiające szczegóły trudniej widoczne na innego typu zdjęciach. Zdjęcia dokonywane w różnych okresach czasu natychmiastowo wykryją wszelkie zmiany, jakie w tym czasie zaszły. Każda nowa budowla, każdy nowy skład czy też stos zwiezionego materiału, wszelkie roboty ziemne i podziemne wyraźnie okażą się na fotografii. Przy tego rodzaju fotografii nie sposób więc ukryć żadnej nowej budowli, a tym bardziej żadnego nowego zakładu przemysłowego.

Do tego zdjęcia te są bardzo szybkie. Pas długości 2.700 mil (od Los Angeles do Nowego Jorku), szerokości 490 mil sfotografowano z jednego samolotu w ciągu niecałych czterech godzin. Inspekcja olbrzymich przestrzeni, proponowanych przez Amerykanów jest więc technicznie zupełnie możliwa.

No dobrze, ale gdzie maskowanie? — mógłby zapytać czytelnik. I na to mamy odpowiedź. Dają ją zdjęcia w poszczególnych barwach, a zwłaszcza w podczerwieni. Ponieważ każde ciało pochłania pewne tylko promienie widma widocznego i podczerwieni, a odbija inne, przy czym widmo to jest tak charakterystyczne dla każdego materiału, jak odcisk palca dla człowieka, więc nawet tam, gdzie oko ludzkie da się zbałamucić, fotografie, dokonywane przy pomocy różnych filtrów, zmylić się nie dadzą. Szczegóły niewidoczne na fotografii biało-czarnej, czy też przy jednym filtrze, wyjdą na filtrze innym i najdoskonalsze nawet zamaskowanie nie pomoże, gdy się coś chce ukryć lub też zapozorować.

A że promienie podczerwone przebijają się poprzez chmury, więc nawet niepogoda nie może uchronić przez zdjęciami z powietrza.

Również i noc nie stanowi osłony. Każde ciało wydaje promienie podczerwone a tym samym jest widoczne dla kliszy czułej na te promienie. A nowoczesne lunety na promienie podczerwone, zaopatrzone w tarcze fosforyzujące pod ich działaniem, pozwalają „widzieć w ciemności".

Do tego, aby umożliwić bardziej ostre zdjęcie, pozwalające na jego szczegółową interpretację, samoloty współczesne zaopatrzone są w bomby oświetleniowe. Taka bomba, mocy ponad cztery tysiące milionów świec, opuszczona na odpowiednią wysokość, pozwala na dokonanie w nocy zdjęć rozległych obszarów, a zdjęcia te pod względem dokładności i ostrości szczegółów niczym nie ustępują zdjęciom w świetle dziennym.

Jest rzeczą ciekawą, że nowoczesna fotografia pozwala rozeznać nie tylko to co widać na ziemi lub to co możemy na podstawie rzeczy widzianych na ziemi; w ten czy w inny sposób wywnioskować o podziemiu. ale nawet daje możność rozeznania tego, co działo się w danym obszarze tysiąc lat temu. W czasie ostatniej wojny, przelatując samolotami nad rozległymi obszarami Bliskiego Wschodu, zauważyli lotnicy, że przy pewnego rodzaju oświetleniu, zwykle zaraz po wschodzie, czy też na krótko przed zachodem słońca, mogli oni, patrząc ukośnie. dojrzeć na tych obszarach jakieś zagadkowe regularne, geometryczne kształty, zupełnie niewidoczne w innych porach dniach i przy widoku pionowym. Zaciekawieni tymi informacjami archeologowie, których wielu służyło w tym czasie w lotnictwie i w wojsku, rychło rozpoznali, że owe dziwne cienie były zarysami dawno zanikłych miast starożytności, o których dokładnym miejscu mało co wiedziano. Gdy wojna się ukończyła, niektórzy z nich, powróciwszy do swojej pracy wykopaliskowej, postanowili odszukać owe miasta, ustalając ich położenie z samolotu. W ten sposób udało się odkryć wiele grodów, o których istnieniu wiedziano ze starych skorupek zapisków Babilończyków, czy też nawet wcześniejszych mieszkańców Mezopotamii, lecz których miejsce było dotychczas zupełnie nieznane.

Ta dziwna właściwość kamery fotograficznej polega na tym, że rośliny, rosnące na ziemi, która ongiś, choćby tysiące lat temu, była głęboko poruszona, różnią się od roślin na ziemi, która od wieków była nieużytkiem lub też służyła tylko dla uprawy. Różnice te, niewidoczne dla oka patrzącego z pobliża. stają się doskonale widoczne z wysokości kilku tysięcy stóp przy odpowiednim oświetleniu i przy spojrzeniu ukośnym.

Tego rodzaju metoda wykrywania dawnych budowli, czy też choćby ich ruin, pozwoliła Anglikom odnaleźć niejeden zapomniany obóz rzymski na ich wyspie. Ostatnio wykryto w ten sposób miasto etruskie w dolinie Padu, zwane przez Rzymian Spina. Miasto to, które za czasów etruskich, w jakimś piątym wieku przed narodzeniem Chrystusa, leżało na brzegu morskim, miało budowę zupełnie podobną do współczesnej Wenecji, a więc kanały i bloki mieszkalne na wysepkach. Poszukiwania znanego z literatury rzymskiej miasta trwały bardzo długo, aż wreszcie, w zeszłym roku, dr Alfieri dokonał zdjęcia z wysokości 4.000 stóp osuszonego lagunu, który w dwa lata po osuszeniu porósł rzadką trawą. Na zdjęciu, poza naziemnymi drogami, polami i osiedlami, widać jak gdyby widmowe cienie głównego kanału, niby weneckiego Canale Grande, oraz — przy bliższym zbadaniu — jakieś mgliste zarysy bloków mieszkalnych. Wykopaliska w tych miejscach całkowicie potwierdziły te przypuszczenia.

Nowoczesne więc ulepszenia fotografii czynią z niej doskonałe narzędzie wykrywania z powietrza rzeczy istniejących nie tylko na powierzchni ziemi, ale i ukrytych pod nią. Może właśnie dlatego Rosjanie tak stanowczo odrzucają myśl inspekcji z powietrza, twierdząc. że jest „nierealna".

Tadeusz Felsztyn

ANTARKTYDA NIE JEST KONTYNENTEM

Jednym z zadań odbywającego się obecnie Międzynarodowego Roku Geofizycznego było zbadanie natury powłoki lodowej, pokrywającej części kuli ziemskiej przylegające do obu biegunów, oraz tego co się pod tą powłoką znajduje. Badania te prowadzone są głównie przez uczonych amerykańskich i sowieckich i dały już interesujące. a nawet w pewnej mierze sensacyjne wyniki, które oczywiście wymagają jeszcze potwierdzeń. Jak dotąd. wynika z nich. że to co uważano za kontynent. otaczający biegun południowy, stanowi tylko ogromny kawał osiadłego nieruchomo lodu z wierzchołkami pewnej ilości skalistych wysp sterczącymi ponad jego powierzchnią.

Glacjologowie amerykańscy, prowadzący badania od strony Oceanu Spokojnego, zaskoczeni byli grubością pokrywy lodowej Antarktydy. Na płaszczyźnie lodowej Marie Byrd Land pokrywa lodowa, jak się okazało, ma grubość blisko 10.000 stóp w punkcie położonym 4.950 stóp ponad powierzchnią morza, z czego wynika, że lód sięga dalej poniżej a nie powyżej powierzchni morza.

Archipelag dużych wysp, a nie kontynent. Do podobnych wyników doszli uczeni rosyjscy, przeprowadzający badania na dwóch innych odcinkach, a mianowicie od strony Atlantyku i Oceanu Indyjskiego. Nie udało się im nigdzie znaleźć pod lodem ciągłych mas lądowych. Niemal wszędzie okazało się, że lód sięga tysiąca stóp poniżej poziomu morza, innymi słowy, że spoczywa bezpośrednio na dnie oceanu.

„Wszystko skłania nas do zrewidowania dawnych poglądów na Antarktydę i wyciągnięcia wniosku, że jest ona prawdopodobnie archipelagiem dużych wysp" — oświadczył prof. G. A. Awsiuk, kierownik sowieckich badań glacjologicznych w ramach Międzynarodowego Roku Geofizycznego, w wywiadzie udzielonym agencji Tass.

Awsiuk wyraża przypuszczenie, że zgodnie z poglądami geofizyków dokoła bieguna istniał kiedyś kontynent, ale został on wepchnięty głęboko w skorupę ziemi przez olbrzymi nacisk mas lodowych. Toteż nazwa Antarktydy powinna być może raczej zastąpiona słowem Atlantyda. określającym zatopiony ongiś kontynent.

Także na północy sondowania lodu w Grenlandii wykazały podobną konfigurację. Jednak zarówno na południu jak na północy konieczne jest jeszcze przeprowadzenie badań dodatkowych, które by potwierdziły dotychczasowe wyniki. W tej dziedzinie sporo oczekiwać można od wyników brytyjskiej ekspedycji antarktycznej, która podejmuje swe prace wkrótce. Być może okaże się w końcu, że ilość lodu na całej kuli ziemskiej jest dwukrotnie większa niż dotąd sądzono.

STAROŻYTNE ZABYTKI W SUDANIE

Wśród archeologów, badających dawne zabytki Sudanu, zapanował gorączkowy pośpiech, gdyż rząd egipski wciąż zapowiada. że prace nad budową wielkiej zapory wodnej w Asuanie zaczną się już w przyszłym roku. Kierownik tzw. Sudan Antiquity Service. John Vercoutter, drugi już rok z rzędu poświęca większą część swych wysiłków badaniu terenu między granicą sudańsko-egipską a Kosha, który ulegnie zalaniu z chwilą zbudowania zapory. Na ten temat wygłosił on świeżo referat w paryskiej Académie des Inscriptions.

Stwierdził, że badania napotykają na duże trudności terenowe, powiększone jeszcze przez brak szczegółowych map. Sudański Departament Pomiarów użyczył samolotów i w chwili obecnej poddano badaniu 2.000 fotografii. Już badania lądowe w latach 1955 i 1956 powiększyły liczbę „miejsc archeologicznych" ze znanych dotychczas 25 do 50, w czym znajdują się cztery świątynie. Inspekcja powietrzna objęła znacznie większy pas o głębokości 300 kilometrów. Znajdują się w nim zabytki starożytne, sięgające od czasów staroegipskich (fortece faraonów) przez ruiny budynków z okresu dawnego królestwa etiopskiego w Nubii (którego stolicą było Meroe) istniejącego od IV wieku przed Chrystusem, po IV wiek po Chrystusie — aż po wczesne kościoły chrześcijańskie.

Fortece faraonów. W ciągu ostatniego roku Vercoutter pracował nad dwoma „wykopami". W jednym z nich znajduje się forteca faraonów w miejscowości Sai, gdzie odkryto piękną świątynię, prawdopodobnie z czasów Thotmesa I lub Amosisa. Odkryto tam też kościół chrześcijański z **X** albo **XI** wieku. Drugi „wykop" obejmuje jak się zdaje, również fortecę z czasów faraonów. W miejscowości Wadi Halfa archeolog O. H. Myers bada odkopane osiedle prehistoryczne; znaleziono w nim materię organiczną, która poddana będzie próbie przy pomocy węgla 14, co może dostarczyć ważnych wskazówek co do wieku wczesnych kultur doliny Nilu.

W Sedeinga, o 150 mil na południe od Wadi Halfa Vercoutter odkrył miejsce obfitujące w zabytki, ze świątynią z okresu **XVIII** dynastii oraz ruinami z czasów meroickich i chrześcijańskich.

Spodziewane są dalsze interesujące odkrycia, może im jednak położyć przedwcześnie kres zalew, wywołany przez zaporę asuańską.

Rząd sudański uchwalił pierwszą swą dotację na budowę Muzeum Narodowego w Chartumie, wzorem istniejącego w Kairze muzeum starożytności doliny Nilu. Dotacja ta wynosić będzie 200.000 funtów; po pierwszej przyjdą dalsze.

OJCIEC KOLBE JAKO REDAKTOR I WYDAWCA

Napisał **ZYGMUNT SOCHOCKI**

Czterdzieści lat temu, w październiku 1917 roku, młody wówczas alumn Kolegium Franciszkańskiego w Rzymie Maksymilian Kolbe, wiedziony Bożym natchnieniem, kreśli ramy stowarzyszenia, w których oprócz codziennych obowiązków każdego chrześcijanina miało się pomieścić także dążenie do uświęcenia własnego i innych poprzez orędownictwo Niepokalanej Maryi, Pośredniczki wszelkich łask. Inicjator nadaje nowemu stowarzyszeniu nazwę „Milicja Niepokalanej". Przystępujących do tej niezwykłej „Milicji" obowiązują trzy tylko warunki: 1) zaufać, oddać się całkowicie Niepokalanej, być narzędziem w Jej świętych rękach; 2) wpisać się do księgi członków „Milicji" i 3) nosić zawsze cudowny medalik.

Warunek pierwszy stanowił istotę rzeczy. A chociaż — jak to zaznaczył o. Kolbe — „oddać się Niepokalanej możemy w różnoraki sposób... wyrazić to różnymi słowami, a nawet wystarczy wewnętrzny akt woli" — to dla ułatwienia podjęcia tej ważnej decyzji ułożył sam „Akt poświęcenia Niepokalanej" o treści następującej:

„O Niepokalana, nieba i ziemi Królowo, Ucieczko grzesznych i Matko nasza najmiłościwsza, Ty, której Bóg cały porządek miłosierdzia powierzyć raczył, ja niegodny grzesznik rzucam się do stóp Twoich kornie błagając, abyś mnie całego i zupełnie za rzecz i własność Swoją przyjąć raczyła i uczyniła ze mną, wraz ze wszystkimi władzami mej duszy i ciała i z całym mym życiem, śmiercią i wiecznością, cokolwiek Ci się podoba. Użyj także, jeżeli zechcesz, mnie całego, bez żadnego zastrzeżenia, do dokonania tego co o Tobie powiedziano: „Ona zetrze głowę twoją", jako też: „Wszystkie herezje Samaś zniszczyła na całym świecie", abym w Twoich niepokalanych i najmiłościwszych rękach stał się użytecznym narzędziem do zaszczepienia i jak najsilniejszego wzrostu Twej chwały w tylu zbłąkanych i obojętnych duszach, a w ten sposób do jak największego rozszerzenia błogiego królestwa Najświętszego Serca Jezusowego. Albowiem gdzie Ty wejdziesz, tam łaskę nawrócenia i uświęcenia wypraszasz, przez Twoje bowiem ręce wszelkie łaski z Najsłodszego Serca Jezusowego na nas spływają. — Dozwól mi chwalić Cię, Panno Przenajświętsza. — Daj mi moc przeciwko nieprzyjaciołom Swoim."*)

Ten niezwykły w formie i treści debiut pisarski o. Kolbego miał stanowić zawsze świeży i aktualny program całej jego działalności prowadzonej poprzez franciszkański ośrodek prasowy klasztor-wydawnictwo pod Warszawą, któremu dał nazwę Niepokalanów. Zaś kilkunastomilionowa rzesza rycerzy Niepokalanej w Polsce i w całym świecie powtarzała te słowa za o. Kolbe i powtarza je dalej, choć go już nie ma między żywymi.

Przez Niepokalaną. Odrodzenie jednostek, narodów, ludzkości całej widział o. Kolbe przede wszystkim w Matce Bożej Niepokalanej. „Rozprzeżenie obyczajów pochodzi głównie z osłabienia woli — stwierdza. — Któż wzmocni słabą wolę ludzką, jeśli nie Ta, co jest Niepokalaną od pierwszej chwili swego istnienia, Matka Łaski Bożej... Więc przez Niepokalaną, jako narzędzie w Jej ręku, starać się o nawrócenie grzeszników i innych co nawrócenia potrzebują i o uświęcenie wszystkich i to wszystkimi godziwymi środkami..." — mówił przez radio w Polsce w dwudziestolecie istnienia „Milicji".**)

„Przez Niepokalaną" stanowiło istotę placówki prasowej — Niepokalanowa. To określenie różniło Niepokalanów od innych zakonów, zakładów, czy instytucji — choćby równie gorliwych w szerzeniu Królestwa Bożego na ziemi. W 1935 r., na konferencji wydawniczej omawiającej cele pracy Niepokalanowa o. Kolbe podkreślał: „Różnicą nie jest »starać się o nawrócenie i uświęcenie dusz«, bo do tego wszyscy dążą, ale ten dodatek na końcu — przez Niepokalaną. Te dwa słowa są specjalnym naszym charakterem. Nie można powiedzieć, by i inni nie czynili w ten sposób. Wszyscy wiedzą, że Matka Boża jest Pośredniczką wszelkich łask, więc doceniają nabożeństwo do Niej. Ale tu chodzi o charakter specjalny, że przez Niepokalaną i to jest istota Niepokalanowa i Milicji."

O. Maksymilian ma całkowitą pewność swego prostego i jasnego celu: „Niepokalana jest Pośredniczką łask, jest przepełniona łaską i z tego nadmiaru łask my otrzymujemy". Wykorzystuje on każdą sposobność, by wszyscy: przełożeni, współpracownicy i nawet czytelnicy właściwie to pojmowali, „by czasem nie uważano Niepokalanowa za jeden konwent więcej... a nie za dzieło Niepokalanej, powstałe za pieniądze dane dla rozszerzania czci Niepokalanej, z czego pod grozą „iniustitiae" nie wolno ani jednego grosza obrócić na co innego, chociażby bardzo szlachetnego — tylko sprawy Niepokalanej" — pisał te słowa w r. 1931 z Japonii do Niepokalanowa w Polsce.

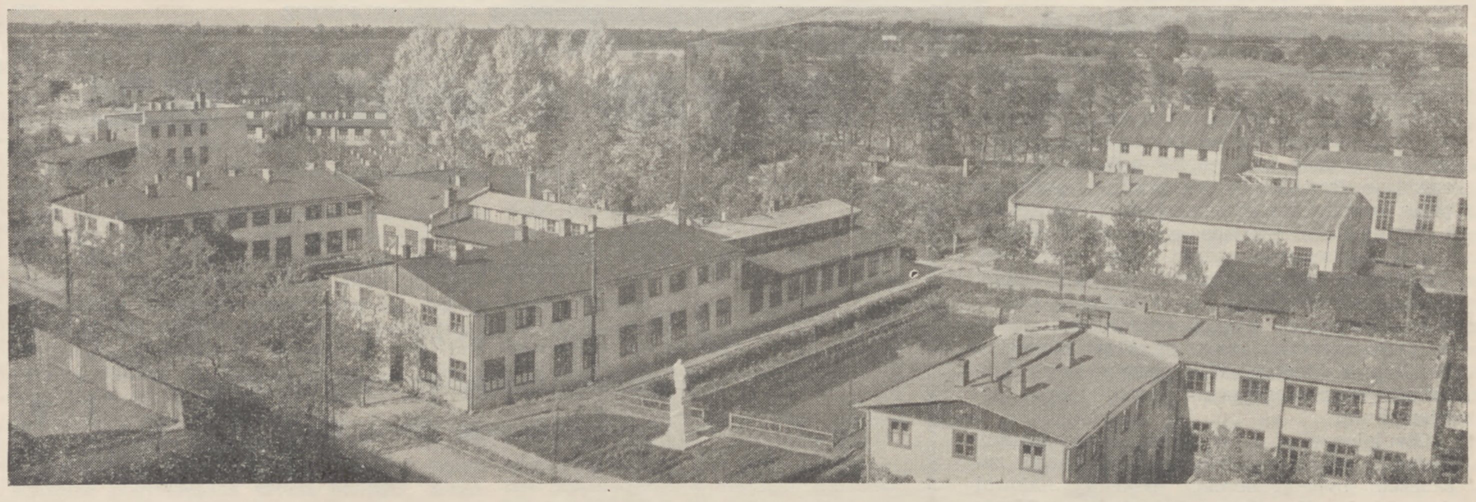
Tuż przed wakacjami w 1938 roku nadeszła do wydawnictwa przesyłka z Krzemieńca. Zawierała ona „artykuł" i list. Uczennica III klasy gimnazjum prosiła o wydrukowanie swego utworu i odwrotne przesłanie należnego jej honorarium. Za uzyskane tą drogą pieniądze będzie mogła pokryć koszty pielgrzymki do Częstochowy, którą organizuje jej szkoła w czasie wakacji. Chociaż „artykuł" nie miał żadnych szans druku, jednak nie można było nie rozpatrzyć możliwości przyjścia dziewczynce z pomocą. Po bliższym zbadaniu okazało się, że rodzice jej istotnie nie mogli pokryć kosztów podróży, chociaż córka tak bardzo pragnęła uczestniczyć w pielgrzymce.

Sprawa została skierowana do rozstrzygnięcia o. Kolbemu jako dyrektorowi wydawnictwa.

— Pieniądze i wszystko, czym tu w Niepokalanowie rozporządzamy — powiedział o. Kolbe do referenta — nie należą do nikogo z nas, lecz tylko i wyłącznie do Matki Bożej. My jesteśmy tylko Jej administratorami i pracownikami w szerzeniu Jej czci i Jej poznania w świecie i w duszach... To jako wstęp, byśmy nie zapominali, że jesteśmy właściwie niczym więcej, jak tylko narzędziami w Jej ręku... To dziecko z oddalonego Krzemieńca widocznie mocno zaufało Matce Bożej, jeżeli aż tu dotarło ze swą prośbą. Proszących ufnie — Matka Boża nigdy nie zawodzi. To jest fakt. Nas w Niepokalanowie nigdy Ona nie zawiodła, ile razy się do Niej zwracaliśmy z ufną prośbą w naszych rozlicznych, mniejszych i większych potrzebach... Jednak w trudnych sprawach decyzji dobrze jest postawić sobie pytanie: Co by Matka Boża w takiej sytuacji zrobiła?...

*) Akt ten został wydrukowany w statucie „Milicji Niepokalanej" w Krakowie oraz w pierwszych numerach „Rycerza Niepokalanej".

**) W 1922 r. „Milicja" została kanonicznie zatwierdzona przez Stolicę Apostolską.



NIEPOKALANÓW, obrabowany z maszyn i wszelkich urządzeń technicznych przez Niemców, nie może wznowić działalności prasowej, gdyż starania o odzyskanie zagrabionej własności rozbijają się o reżymową ustawę o upaństwowieniu zakładów graficznych w Polsce. Ojcowie nie mogą w ogóle uzyskać zezwolenia na uruchomienie swej akcji prasowej.

O. Kolbe zamilkł, a referent nieśmiało odpowiedział na postawione pytanie:

— Przypuszczam, że wysłałaby pieniądze temu biednemu dziecku...

— To i my spełnimy Jej wolę, gdy je wyślemy — zakończył o. Kolbe.

„Rycerz Niepokalanej" zaczął wychodzić w 1921 roku w Krakowie. Z początku może i nieporadnie, może i kulawo, ale za to z bezgraniczną ufnością i miłością rozdmuchiwał tlejące w sercach czytelników nabożeństwo do Matki Bożej. Chodziło o to jedno, by wygasającą i ziębnącą ze wzrostem lat miłość dziecięcą ku Matce Bożej rozpalić znów płomieniem, który by ogrzewać mógł i rozjaśniać ludzkie życie. O. Kolbe formułuje to bardzo prosto:

„Przecież zawsze i wszędzie, wszyscy ludzie i każda dusza z osobna, tak w Polsce jak i poza jej granicami, potrzebuje wciąż wiele dobroci i pośrednictwa Matki Łaski Bożej..."

Najwymowniejszym i najbardziej przekonywującym materiałem redakcyjnym „Rycerza" nie są wyszukane artykuły świetnych piór, ale gorące, w prostej, a nieraz i niegramatycznej formie składane podziękowania potwierdzające prawdę słów wypowiedzianych przez św. Bernarda: „Od wieków nie słyszano, ażeby kto uciekając się do Ciebie, Twej pomocy wzywając, Ciebie o przyczynę prosząc, miał być przez Ciebie opuszczonym..." Coraz to nowi czytelnicy miesięcznika (tj. do wojny) wczytywali się w treść owych podziękowań ludzi wszystkich stanów i zawodów, by wcześniej czy później dołączyć się również do pochodu publicznej wdzięczności dla Tej, „która nikogo nie opuszcza i nikim nie gardzi". Tu kryło się źródło tajemniczej siły błękitnego pisma Maryjnego — zawsze skromnego literacko, ale wypełnionego od pierwszej do ostatniej strony żywą wiarą, miłością i ufnością ku Niepokalanej Matce. Milionowy nakład, jaki pismo osiągnęło w 1939 r., jest najwymowniejszym dowodem słuszności tezy pierwszego rycerza Niepokalanej: „Każda łaska to nowy dowód potęgi i dobroci Niepokalanej".

Poruszana i wzmagana poprzez „Rycerza" żywa wiara w sercach ludzkich wywoływała niepokój u tych, którzy nie chcieli uznać zbawczej roli Pośredniczki Łask, sprawującej swoje władanie na ziemi. Zarzucano więc redaktorowi i wydawcy, że w „Rycerzu" głosi naiwne „cuda" a przez nie pogłębia „zacofanie" i „średniowiecze" wśród polskich mas. Proste i szczere dowody wiary i pobożności określano jako „opium dla ciemnego ludu", a klasztor-wydawnictwo w Niepokalanowie nazywano „Ciemnogrodem", zaś jego pracowników „rycerzami spod Teresina".

Żadne jednak ataki nie były zdolne nadwerężyć zbożnych wysiłków o. Kolbego. Trapi i zasmuca go jedynie stan duchowy przeciwników. Gdy czasem odpowiada na nagonkę, mówi tylko te słowa, które w modlitewnej ciszy kościoła cisną mu się na usta:

„...Powstają przeciwko Twojemu „Rycerzowi", dlatego, że rozgłasza Twe dobrodziejstwa, łaski i cuda. Chcieliby, żeby o nich nikt nie wiedział, żeby się zdawało, że Ciebie nie ma pomiędzy nami. Biedni oni, bo ich zaślepiają różnorodne przesądy, które nawet pod płaszczykiem wiedzy pokutują wciąż jeszcze na tej biednej ziemi. Tym bardziej, że sprzyja im nasza zepsuta, nieokiełznana natura ludzka, która nie tylko pragnie wolności, ale i swawoli...



Autograf o. Kolbego

„Ty wiesz o tych biednych... Ty im też podasz rękę, Ty ich oświecisz, wspomożesz, bo Ty ich też bardzo a bardzo kochasz. Wtenczas poznają dobroć Twoją, jak my ją znamy. I oni Cię pokochają, jak my Cię kochamy, a nawet więcej, bez granic więcej, tak jak Cię kochać chcemy...

„A wtedy oni nie tylko nie będą się smucić, że Twój „Rycerz" rozgłasza Twe dobrodziejstwa i tak szerzy ufność i miłość ku Tobie, ale wszystkimi siłami starać się będą, by każda Twoja łaska, udzielona choćby w zapadłym zakątku świata, doszła do wiadomości wszystkich i w sercach wszystkich powiększała ufność i miłość ku Tobie..."

„Rycerz Niepokalanej" nie ograniczał swej tematyki jedynie do spraw religii i Kościoła, lecz starał się poruszać wszelkie najbardziej żywotne i aktualne sprawy. Zdarzył się nawet wypadek, że cykl artykułów w sprawie dzieci, którym nie pozwolono urodzić się, drukowany w miesięczniku, wywołał wśród niektórych zakonników i sióstr zupełne zgorszenie: „Jak można taki drastyczny temat poruszać w pobożnym piśmie?" — pytali. A na to ojciec Kolbe: „...»Rycerz« nie jest pismem przeznaczonym dla zakonników czy zakonnic, lecz dla urabiania dusz w świecie żyjących. Dusze zakonne mają lekturę w codziennych rozmyślaniach i bibliotekę klasztorną, więc do „Rycerza" niekoniecznie muszą zaglądać".

Nie każdy by się zdobył na takie postawienie tej sprawy. Wysiłki wydawnicze ojca Kolbego trudno przeciętną mierzyć miarą. Klasztor-wydawnictwo, zbudowany na błotnistej łące, w znoju i trudzie „rycerzy Niepokalanej" rósł i rozszerzał się w oczach, hale drukarni zapełnił sprzęt techniczny. Gdy podziwiano nowe urządzenia, o. Kolbe informuje:

„Wszelkie nowoczesne wynalazki w maszynach czy systemach pracy niechaj naprzód posłużą sprawie uświęcenia dusz przez Niepokalaną. Toteż ograniczając jak najbardziej potrzeby prywatne, prowadząc życie jak najuboższe — będziemy używali jak najnowocześniejszych środków. W połatanym habicie, w połatanych butach, na samolocie najnowszego typu, jeśli to będzie potrzebne dla zbawienia i uświęcenia dusz — będzie naszym ideałem..."

Więc cieszy się o. Kolbe ze wszystkich zdobyczy nowej techniki drukarskiej, cieszy się tym bardziej, że coraz silniej odczuwa konieczność wydawania przez Niepokalanów gazety codziennej. Zdaje sobie sprawę z trudności, ale cóż one znaczą wobec tego, że tylko dziennik może nadążyć za wartkim nurtem życia, że wydawanie przez Niepokalanów dziennika uważa za rzecz niezbędną. „Wrogowie Kościoła mają miliony dolarów — rozpamiętywał — a pracownik na niwie katolickiej prasy nie może wytężyć sił, by pracę swą doskonalić i potęgować, bo musi po prostu walczyć o byt materialny dla swojej prasowej działalności".

Walka podjęta o byt materialny przez o. Kolbego w jego działalności prasowej łatwa nie była. Wiemy o tym dobrze my, którzyśmy z nim razem pracowali.*) Bezgraniczna ufność ojca Kolbego w Opatrzność Bożą, której Niepokalana Dziewica jest Szafarką, potrafiła rozwiązywać problemy, które się zdawały nie do rozwiązania i usuwać przeszkody, o których wielu myślało nieraz, że są nie do przezwyciężenia.

„Fundamentem zapewniającym rozwój Niepokalanowa jest nasz stosunek do Niepokalanej — objaśniał w r. 1935 czytelników »Rycerza«. — Im bardziej będziemy zjednoczeni z Niepokalaną... tym rozwój nasz będzie silniejszy. I nic innego nie jest fundamentem, tylko to życie wewnętrzne, to zjednoczenie się z Niepokalaną..."

„Mały Dziennik". Na takim to fundamencie, omodlony, zrodzony w ubóstwie, wystartował w 1935 r. „Mały Dziennik", jako pięciogroszowe codzienne pismo katolickie, którego na rynku wydawniczym w Polsce brakowało. Kierownictwo redakcyjne dziennika powierzył o. Kolbe (przebywając w tym czasie w Japonii) o. dr. Marianowi Wójcikowi, jednemu ze swych pierwszych uczniów. (O. Wójcik po ostatniej wojnie wydawał na emigracji przez 10 lat w Nowym Jorku „Inter-Catholic Press Agency", zmarł w r. 1956.) Z miesiąca na miesiąc nakład dziennika wzrastał, by w czwartym roku swego istnienia (1939) osiągnąć cyfrę 120.000. Żadne z codziennych pism w Polsce w tym czasie nie mogło poszczycić się tak wysokim nakładem.

Dyrektywy dla pracy dziennikarskiej czerpie o. Kolbe przede wszystkim z głębi duszy narodu, który nie tylko na kartach historii, ale przede wszystkim w sercu ma wyrytą tysiącletnią tradycję katolicką.

Dobrze redagować pisma nie zdoła jeden człowiek. Potrzebny jest do tego sztab redakcyjny. Tu przed o. Kolbem i o. Wójcikiem wyłaniały się kłopoty natury personalnej. Wciąż bowiem było stanowczo za mało ludzi świeckich dostatecznie wyrobionych i przygotowanych do dziennikarskiej pracy w duchu katolickim, duchu Niepokalanowa: „wszystkie nasze czyny muszą być takie, by się ich Niepokalana nie potrzebowała wstydzić".

*) Autor był w zespole wydawniczym

„Redaktorzy świeccy muszą być też tą ideą przejęci — mówi o. Kolbe do swych najbliższych współpracowników. — Jeżeli któryś z nich tego nie może zrozumieć i nie może się tym przejąć — należy go zmienić. Natomiast jeśli pracuje w tym kierunku, to nie może to być tylko pozorowane, musi on być przejęty sprawą Niepokalanej głęboko. I dopiero takiemu redaktorowi można dać już pewną swobodę: wystarczy mu tylko czasem udzielić ogólnych wskazówek, a w resztę sam się wczuje...”

Żądni opinii dyrektora wydawnictwa o „Małym Dzienniku” słyszą ją na konferencji redakcyjnej:

„Gdy będzie można na »Małym Dzienniku« podpisać »Redaktor Naczelny — Niepokalana«, to dziennik będzie doskonały. I jeżeli do któregoś z artykułów podpis nie będzie pasował, trzeba go tak obrobić, by pasował.”

Założenia o. Kolbego obejmują nie tylko wszystko co przynosi teraźniejszość. Myśl jego biegnie w przyszłość i szuka dróg ratunku dla narodu, który w tak niedługim czasie zostanie dotknięty pasmem nieszczęść...

O. Kolbe ma swoje własne zdanie, jeśli chodzi o stronę redakcyjną pisma:

„Przejawy zła piętnować trzeba, nie ludzi ulegających złemu... Przykre sprawy wymagają większego przemyślenia. Doświadczenie uczy, że gorącość w takich sprawach sensacyjnych nigdy nie popłaca... Sensacja nie jest pokarmem zdrowym i psuje apetyt na chęć poznania prawdy... Służyć mamy dobru i prawdzie. Prawdy się nie boimy. Obawą napawa nas zawsze tylko nieprawda...”

Miał też swoje bardzo odrębne wymagania — jeśli chodziło o stronę graficzną. Redakcja „Rycerza” korzystała od czasu do czasu ze współpracy polskich grafików. Ilustrowali oni przeważnie okładki pisma, które — według przyjętego przez o. Kolbego zwyczaju zdobił rysunek Niepokalanej Dziewicy. O. Kolbe prawie nigdy nie odnajdywał w tych pracach piękna „Niewiasty obleczonej w słońce”, której obraz miał w duszy. Chętniej akceptował prace brata zakonnego, który według zdania ojca dyrektora lepiej wczuwał się w nieziemskość postaci Niepokalanej.

„Nie znam się na grafice — mawiał często, usiłując przekazać słuchającemu swój punkt widzenia. — Możliwe, że współczesne prądy malarskie tak a nie inaczej widzą postać Niepokalanej, ale to jeszcze nie dowód.. Człowiekowi, który swym życiem za mało zbliża się do Niepokalanej, jest dużo ciężej odtworzyć oblicze Tej, która jest najpiękniejszym stworzeniem, jakie kiedykolwiek wyszło z rąk Stwórcy... Malarz, w wypadku odtworzenia postaci Niepokalanej, najczystszą wizję może uzyskać tylko i jedynie, gdy zdobędzie się na pokorną modlitwę o łaskę poznania Jej i gdy sam na sobie doświadczy Jej dobroci i potęgi... Święta Bernadeta oglądała postać Pani w chwilach, gdy ręce jej przesuwały paciorki różańca, a wargi szeptały »Zdrowaś Maryjo«...”

Nie pomagały argumenty, że to rysował Norblin, a to Gronowski, a to Witkowski... że współczesność, styl, technika mają swoje wymagania... Dyskusję zamykał o. Kolbe jakby brakującą kropką po tym co już przedtem powiedział:

„Może to jest i dobre, ale jednak do t e j Matki Bożej nie można się modlić...”

A jednak ustąpił i to w sposób tak korny, że aż zasługujący na specjalną uwagę. Przy jednej z takich rozmów był raz obecny prowincjał zakonu o. Anzelm Kubit. Skorzystał z okazji o. Kolbe, zdając sobie sprawę, że mógł się mylić decydując, ale że nie popełni błędu słuchając, bo sam nauczał, że „przez posłuszeństwo wznosimy się ponad swoją skończoność i działamy według mądrości nieskończonej, mądrości Bożej”.

— Co ojciec prowincjał sądzi o projekcie tej okładki? — zapytał.

— Wydaje mi się, że jest dobra. Okładka pisma to przecież nie obrazek święty, przed którym trzeba się modlić...

— Można drukować — zakończył z miejsca dalszą dyskusję o. Kolbe, uznając w opinii przełożonego wolę Tej, dla której chciał aby wszystko było w stopniu najwyższym i najdoskonalszym.

Akcja prasowa Niepokalanowa, bez względu na to co się o niej mówiło i pisało, nie mogła nie budzić zainteresowania. W tym zainteresowaniu postać ojca Kolbego centralne zajmowała miejsce. Józef Stemmler*), wspominając swoje spotkanie z o. Kolbe wiosną 1938 roku na obradach Związku Wydawców w Warszawie mówi o rozmowie dyrektora Zakładów Św. Wojciecha, inż. Szczepana Jeleńskiego z dyrektorem Niepokalanowa:

„Dyrektor Jeleński formułował interesujące pytania. Ojciec Kolbe odpowiadał, wykazując znakomitą znajomość branży. Ze swoich osobistych doświadczeń nie robił tajemnicy. Dzielił się chętnie. Na pytania odpowiadał jakby z zażenowaniem, że to właśnie on zna te wszystkie problemy...

*) Józef Stemmler — dyrektor Polskiej Macierzy Szkolnej w Polsce przedwojennej.

„Mówiąc o kulturalnym zacofaniu szerokich a ubogich rzesz polskich wsi i miast oraz o potrzebie szerzenia wiedzy i uświadomienia drukowanym słowem, w lapidarny sposób formułował oryginalne a trafne uwagi o roli kierowniczych zespołów:

— Mieszkać można i w barakach, lecz słowo kształtujące ducha ludzkiego należy drukować na najnowocześniejszych maszynach i w największych, łatwo dostępnych ilościach...

— Wartościowa a tania książka znajdzie licznych nabywców. Człowiek pracujący nie ma czasu na czytanie lichoty...

...Tak mówił ten nowoczesny zakonnik...”

Wojna zburzyła znojne wysiłki i niezwykłe osiągnięcia „nowoczesnego zakonnika”, ale ziarno, które zasiał wzejdzie samo wcześniej czy później jako posiew miłości bez granic, miłości chrześcijańskiej, w imię której dobrowolnie oddał życie w Oświęcimiu, aby umożliwić życie innemu.

Posłuchajmy co mówi Kardynał Wyszyński o ojcu Kolbe:

„Ojciec Maksymilian Kolbe jest taką postacią, z którą świat się tak prędko nie rozstanie. To nie jest postać archiwalna. Jego nie da się tak opisać, pokartkować, ponumerować, ustawić w bibliotece kilkanaście czy kilkadziesiąt tomów i powiedzieć z archiwalnym spokojem: wszystko skończone. Nie. To nie jest postać, która się mieści w archiwach. On zawsze będzie wychodził z półek, z kartotek, z okładek i opraw. Będzie zawsze i długo przerastał nas wszystkich o głowę.”

Z. J. Sochocki

Chińscy „katolicy-patrioci”

Od czasu uwięzienia biskupa Kunga w Szanghaju we wrześniu 1955 roku i fali prześladowań, która wówczas ogarnęła wiele chińskich prowincji, w stanowisku komunistycznego rządu Chin wobec katolików nastąpiło pewne uspokojenie. Doniesienia agencji „Fides” z Hongkongu wskazują jednak na to, że to uspokojenie ma charakter pozorny, o czym świadczą przesiąkające ciągle wiadomości o ostrym nacisku, któremu są poddani katolicy chińscy. Nacisk ten idzie głównie w kierunku przystępowania do tak zwanych „Katolickich Zrzeszeń Patriotycznych”, przy czym najsilniejszy jest w stosunku do księży.

Czy próba tworzenia sekty? Owe „zrzeszenia patriotyczne” mają stanowić masową podstawę dla „nowej orientacji” katolików chińskich. Czy mają one taki sam charakter jak utworzony poprzednio „Autonomiczny Kościół Katolicki”, albo „Kościół Trzech Autonomii”, organizacje potępione przez Stolicę Apostolską? Kościół nie zabrał jeszcze oficjalnie głosu w sprawie tej nowej próby stworzenia (lub wymuszenia) jakiegoś modus vivendi między katolicyzmem w Chinach a reżymem komunistycznym, a to dlatego — jak sądzi agencja „Fides” — że do tej pory nie zostały jeszcze ogłoszone statuty tych zrzeszeń i nie podobna wydać ostatecznego orzeczenia, bez znajomości faktycznego stanu rzeczy.

Doniesienia ze źródeł komunistycznych są wszakże bardzo niepokojące. W dniu 15 lipca — wedle tych doniesień — odbyła się w Pekinie Ogólno-Narodowa Konferencja Katolików Chin z udziałem jakoby 241 delegatów. Jako przewodniczący wymieniony został „Msgr. Paulus Wing, biskup Nanczungu, w prowincji Szeczuan”. Otóż takiej diecezji w ogóle nie ma, nie ma też biskupa o tym nazwisku. Również wielu innych „biskupów”, których wymieniono jako uczestników konferencji, nie można znaleźć w „Annuario” papieskim.

Ataki na Watykan. Według doniesienia radia pekińskiego, rezolucja powzięta przez konferencję deklaruje zerwanie wszelkich „politycznych i gospodarczych powiązań z Watykanem” z tym jednak, że „katolicy chińscy będą posłuszni Watykanowi w sprawach dogmatycznych i obyczajowych”. Jednak nawet to posłuszeństwo jest ograniczone w tekście rezolucji. Mówi ona mianowicie, że słuchając Rzymu w dziedzinie nauki i obyczajów katolicy chińscy „przeciwstawią się energicznie wszelkiemu wymyślonemu przez Watykan planowi, nawet ubranemu w formę religijną, który wkraczać będzie w sprawy wewnętrzne naszego kraju, naruszać naszą suwerenność i szkodzić naszemu patriotycznemu ruchowi przeciw imperializmowi”. Jak się zdaje, duża ilość uczestników opuściła konferencję jeszcze przed uchwaleniem rezolucji. Agencja urzędowa „New China” ogłosiła powody powzięcia takiej uchwały, podane jakoby przez niektórych przywódców konferencji. „Watykan — mówili oni — okazał nie tylko nieprzejednaną wrogość wobec nowych Chin i mieszał się w wewnętrzne sprawy chińskie, ale nadto uznał reżym narodowo-chiński na Formozie i mianował nuncjuszem na Formozie Msgr. Riberi'ego, który został wydalony z Chin”. Całość komentarza, jak i rezolucji, idzie całkiem po linii sloganów oficjalnych.

Radio pekińskie doniosło nadto, że obecnie w całych Chinach tworzone są „Patriotyczne Zrzeszenia Katolików Chińskich” i że będzie nimi kierował komitet złożony ze 150 osób.

Dodać warto, że liczba katolików w Chinach
Należy oczekiwać dalszych wiadomości.
wynosi około trzech milionów.

ŻYCIE MIĘDZYNARODOWE

W NIEMCZECH PO WYBORACH

(Od własnego korespondenta ŻYCIA)

Że w czasie trzeciej kadencji Bundestagu kanclerzem będzie po raz trzeci dr Konrad Adenauer, nie ulegało w ciągu ostatnich tygodni żadnej wątpliwości. Niespodzianką natomiast wyborów z dnia 15 września było imponujące zwycięstwo partii kanclerskiej — chrześcijańskiej demokracji (CDU), która uzyskała 15 milionów, tj. 50,2% głosów. Na 497 miejsc w parlamencie zajmie CDU 270 krzeseł. Jest to rzadko spotykane w ustroju wielopartyjnym absolutne zwycięstwo jednej partii, której ośmioletnie rządy — jak to często bywa — nie zdepopularyzowały, lecz przeciwnie przysporzyły jej — w porównaniu z rokiem 1953 — 2,5 milionów nowych głosów.

Trzy czynniki zadecydowały o powodzeniu Unii Chrześcijańsko-Demokratycznej: osoba prezesa-kanclerza, linia polityki zagranicznej rządu i koniunktura gospodarcza. Spośród nich popularność Adenauera miała znaczenie największe. Nie ma żadnej przesady w tym co się mówi, że zwycięstwo wyborcze CDU jest przede wszystkim osobistym zwycięstwem popularnego w masach niemieckich kanclerza. Niezwykła ruchliwość jego w czasie kampanii wyborczej przekonała masy, że kanclerz — mimo swych 82 lat — cieszy się czerstwym zdrowiem i posiadać będzie dość sił i witalności, by nadal kierować polityką zachodnich Niemiec.

Wybory przyniosły aprobatę większości dla tego kierunku niemieckiej polityki zagranicznej, która przyszłość Niemiec oprzeć pragnie na integracji europejskiej i na ścisłej współpracy z Zachodem, w pierwszym rzędzie z Ameryką. Polityka balansu, w mało sprecyzowanej zresztą formie, propagowana przez socjaldemokrację, nie znalazła należytego oddźwięku wśród wyborców niemieckich. Niemcy zachodnie wiedzą co mają, i posiadanego dorobku nie chcą narażać przez wkroczenie na drogę niewyraźnego eksperymentu, nie pozbawionego akcentów neutralistycznych.

To samo w jeszcze silniejszym stopniu powiedzieć można o stronie gospodarczej. Dobrobyt zachodnich Niemiec rzuca się w oczy nie tylko każdemu przyjezdnemu, ale odbija się też dodatnio na każdym Niemcu. Neoliberalistyczna polityka gospodarcza, poparta zresztą olbrzymią pomocą gospodarczą Ameryki, okazała się skutecznym środkiem odbudowy gospodarstwa, które znajdowało się w roku 1945 w ruinach. Tak skutecznie zastosowany eksperyment ekonomiczny musi na każdym robić duże wrażenie. Także i — na gościach z Polski, którzy mają tu możność przeprowadzania ciekawych porównań. Socjaldemokraci niemieccy musieli pod wpływem rezultatów polityki ministra Erharda poddać swój program społeczno-gospodarczy gruntownej rewizji. Postulat upaństwowienia przemysłu zniknął z programu SPD. A mimo to szary wyborca wolał nie ryzykować, nie narażać swego obecnego dorobku i wygodnego życia przez socjalistyczne eksperymenty społeczne. W przekonaniu moim — strona gospodarcza i osobistość Adenauera, w większym stopniu niż linie polityczne, zdecydowały o tak znacznym zwycięstwie CDU.

Ofiarą sukcesu CDU stała się socjaldemokracja. SPD przegrała wybory, ale przegrała je z honorem. Absolutna większość, która — być może, że rok temu śniła się niektórym funkcjonariuszom partyjnym — nie była przez kierownictwo tej partii brana w ogóle pod uwagę. Natomiast celem zamierzonym było niedopuszczenie CDU (nawet łącznie z jej satelitą koalicyjnym DP (Niemiecka Partia), do uzyskania absolutnej większości. Otrzymanie przez CDU mniej aniżeli 50% stworzyłoby wprawdzie sytuację szczególnie korzystną dla liberałów (FDP), ale dałoby jednocześnie SPD szanse ubiegania się o udział w rządzie. Wiele wprawdzie przemawiało za tym, że liberałowie byliby raczej porozumieli się z chrześcijańskimi demokratami aniżeli z SPD, ale socjaliści byliby — być może — skłonni do zapłacenia liberałom wyższej ceny od CDU, wyrażonej np. w postaci oddania stanowiska kanclerza w ręce prezesa liberałów, Reinholda Maiera. Celu swego socjaliści nie osiągnęli. Zyskali jednak 1,6 milionów dodatkowych głosów i zwiększyli swój procentowy udział głosów z 28,8 do 31,8 proc. W nowym parlamencie zasiądzie 169 posłów socjaldemokratycznych, tj. 35 %. Na tym polega względny sukces SPD. Zmiana konstytucji, możliwa tylko przy większości 2/3 głosów, nie jest możliwa bez zgody socjalistów.

Ambicją socjaldemokracji niemieckiej jest rozszerzenie swego zasięgu poza warstwę robotników i częściowo drobnego mieszczaństwa, ale — jak dotychczas — zasięg ich obejmuje nie więcej niż 1/3 wyborców. W tym stanie rzeczy, nawet gdyby ustabilizował się w Niemczech system dwupartyjny, perspektywy SPD dojścia kiedykolwiek do władzy, równałyby się zeru. Przegrana wyborów wywołała przeto natychmiast we władzach tej partii ożywioną dyskusję na temat konieczności dalekosiężnych reform organizacyjnych, personalnych i przede wszystkim programowych. Coraz natarczywiej odzywają się głosy domagające się porzucenia resztek balastu marksistowskiego i doktrynalnego. Aparat funkcjonariuszy broni jednak zazdrośnie swych pozycji. Niemniej sprawa reorganizacji partii staje się problemem, który wymagać będzie zasadniczego rozpatrzenia.

Wyraźną klęskę poniosły w wyborach wrześniowych małe partie. Liberałowie uzyskali 2,3 milionów głosów (o 300.000 mniej aniżeli cztery lata temu) i — wobec uzyskania przez CDU absolutnej większości — skończył się ich „sen o potędze”. Liberałowie nie są potrzebni do tworzenia koalicji rządowej, nawet zmiana konstytucji nie jest możliwa przy ich pomocy. Stan posiadania Niemieckiej Partii utrzymał się mniej więcej na tym samym poziomie (w roku 1953 3,3% głosów, obecnie 3,4%), mimo że po fuzji z secesją liberałów (18 dawnych posłów liberalnych przystąpiło pod koniec ubiegłej kadencji do DP) — mogli oczekiwać znaczniejszego przyrostu wyborców. Drobne grupy, szczególnie skrajnie prawicowe, zebrały zaledwie po kilkaset tysięcy a nawet po kilkadziesiąt tysięcy głosów. Żaden z ich kandydatów nie zasiądzie w nowym parlamencie.

Wyraźną klęskę poniósł, ku zadowoleniu poważnych kół politycznych, NRF blok uchodźców BHE (Bund der Heimatvertriebenen und Entrechteten). Ilość głosów oddanych na te partie wyniosła 1,4 miliona, tj. ćwierć miliona mniej aniżeli w roku 1953. W żadnym okręgu nie przeprowadzili własnego kandydata. Ponieważ ogólna ilość głosów wynosiła tylko 4,6%, nie osiągnęła więc wymaganych przez ordynację wyborczą 5%. BHE nie będzie nadal — i chyba już nigdy — reprezentowany w Bundestagu. Z tego widać, że nawet skrajnie nacjonalistyczna i rewizjonistyczna propaganda BHE nie zrobiła na uchodźcach dostatecznego wrażenia. Spośród około 10 milionów uchodźców w zachodnich Niemczech, a w tym około 8 milionów wyborców tylko 1,6 miliona dało się zbałamucić przez nierealne slogany rewizjonistyczne. Klęska wyborcza BHE stanowi jednocześnie wyrok śmierci dla tej partii. Już dzisiaj dyskutuje się sprawę ewentualnej fuzji bloku uchodźców z liberałami. Do tematu tego wrócę jeszcze w jednej z następnych korespondencji.

W ciągu najbliższych czterech lat — jeśli nie nastąpią w polityce światowej i ogólno-niemieckiej nadzwyczajne wydarzenia — rządzić będzie chrześcijańska demokracja. Monolit tej partii nie jest tak ustabilizowany, by całkowicie wykluczać należało możliwość tarć i walk wewnętrznych. Tarcia te mogą narastać, gdyby stan zdrowia Adenauera się pogorszył i zmusił go do rezygnacji w czasie trwania obecnej kadencji. Już teraz toczą się wewnątrz partii walki o skład przyszłego gabinetu. Na razie dominować i patriarchalnie o wszystkim decydować będzie w ostatniej instancji kanclerz.

Prasa komunistyczna przedstawia wynik wyborów jako zwycięstwo „reakcji, militaryzmu, nacjonalizmu i rewizjonizmu”. W pojęciu jej „reakcją” jest oczywiście wszystko, co nie jest komunizmem. Czy jednak zwycięstwo prawicy nie grozi istotnie narastaniem tych niebezpiecznych cech niemieckiej mentalności politycznej? Niewątpliwie, wiele w tym zakresie objawów w życiu NRF budzi poważny niepokój. Wielu byłych nazistów zajmuje ważne stanowiska państwowe. Generałowie hitlerowscy i inni dygnitarze dawnego reżymu pobierają wysokie emerytury, podczas gdy ofiary nazistowskie czekają w wielu wypadkach nadal na odszkodowania. Dojście do władzy socjaldemokracji oczyściłoby w pewnym stopniu atmosferę niemiecką. Te wszystkie fakty nie uzasadniają jednak twierdzenia, że wybory, ściślej mówiąc, że zwycięstwo CDU oznacza aprobatę dla przerostów nacjonalizmu i militaryzmu niemieckiego. Grupy o skrajnie nacjonalistycznych programach poniosły druzgocącą klęskę. BHE zniknął z życia parlamentarnego NRF. Najbardziej prononsowani rewizjoniści nie zostali wybrani. Jednostki, które w CDU czy w innych partiach parlamentarnych miały opinię ekstremistów, otrzymały uderzająco małą liczbę głosów. Ludzie umiaru natomiast, mimo że piętnowani byli jako „politycy rezygnacji”, uzyskali olbrzymią większość. Prof. Carlo Schmid, kandydujący z Mannheim, przeszedł dużą większością głosów. Ilość głosów oddanych na niego była znacznie większa, aniżeli w tym samym okręgu liczba „drugich głosów” oddanych na SPD.

Jeśli chodzi o interesy polskie, to trudno — rzecz prosta — zapomnieć o posunięciach rządu w Bonn, które musiały budzić w nas zastrzeżenia. Z ust urzędujących ministrów padały niejednokrotnie ostre sformułowania rewizjonistyczne. Ale mimo to, zwycięstwo wyborcze chrześcijańskiej demokracji, a szczególnie zwycięstwo kanclerza Adenauera, ocenić należy pozytywnie i z punktu widzenia interesów polskich. Być może, że rząd socjalistyczny gotów byłby pójść dalej aniżeli CDU w polityce „wyjścia naprzeciw interesom polskim”, lecz człowiekiem, który by w obecnej rzeczywistości mógł przekonać naród niemiecki o konieczności ustępstw w stosunku do Polski — jest dr Adenauer. Z wielu jego oświadczeń przebija niekłamana nuta sympatii dla Polaków. Szerokie masy społeczeństwa niemieckiego nie są jeszcze dojrzałe do ostatecznego zerwania z błęda-

mi przeszłości, jeśli chodzi o Polskę. Narzucenie im rozwiązań niepopularnych wymaga niepowszedniej odwagi politycznej i wielkiego autorytetu. Takim autorytetem jest w obecnym układzie sił jedynie i wyłącznie kanclerz Adenauer.

S. Cz.

„LEISURE" W AMERYCE

Pytanie to z pewnością nie jest aktualne dla Polaków i w ogóle dla większości Europejczyków, nawet w Europie zachodniej", przynajmniej w postaci jakiegoś kłopotliwego zagadnienia, gdyż owego wolnego czasu nikt prawie nie ma za dużo. Ale w Stanach Zjednoczonych zaczyna ono zaprzątać głowy socjologów, psychologów, ekonomistów i wychowawców — a także businessmanów, dla których zagadnienie dłuższej niż dotychczas „leisure" mas pracowniczych stwarza perspektywę nowych, lub rozszerzonych gałęzi dochodów.

Na ten temat interesujący artykuł ogłosił Robert Bendiner, współredaktor magazynu „New York Reporter"; artykuł ten przedrukował londyński „Daily Telegraph".

Sześć razy więcej. W bieżącym roku — stwierdza p. Bendiner — robotnik amerykański wytwarza w każdej przepracowanej przez siebie godzinie sześć razy więcej niż jego dziadek. Oznacza to przyrost na głowę produkcji 240 procent w tygodniu liczącym 40 godzin pracy zamiast dawniejszych 70. Nawet nie będąc socjologiem ani ekonomistą można sobie wyobrazić rozmiary nadchodzących przemian w miarę postępu automatyzacji, która znajduje się dopiero w początkach, oraz przygotowywanego dopiero użycia energii atomowej.

Już obecnie 40-godzinny tydzień pracy przechodzi do historii. Zestawienia Departamentu Pracy, obejmujące 6 milionów robotników amerykańskich, wykazują, że 45 procent pracowników biurowych pracuje mniej niż 40 godzin tygodniowo, nie wyłączając z tego przerw na wypicie kawy. W rokowaniach o warunki pracy, przewidzionych na roku 1958, robotnicy firmy Walter Reuther's United Automobile domagać się będą 32-godzinnego i być może czterodniowego tygodnia pracy, a pracownicy United Steel zamierzają za dwa lata zażądać wprowadzenia sześciogodzinnego dnia pracy. Mniej niż 40 godzin jest już obecnie regułą w produkcji sukien damskich, browarnictwie, piekarniach, przemyśle gumowym, budowlanym i wydawniczym.

Kto zyska na tych przemianach? Przemiany technologiczne zmierzają raczej do zmniejszania ilości godzin, niż redukowania personelu, toteż ludzmi, którzy uzyskają przyrost wolnego od pracy, a opłacalnego czasu będą robotnicy fabryczni i pracownicy biurowi. Natomiast członkowie wolnych zawodów, kupcy i ludzie pracujący w kategorii usług — w przemyśle rozrywkowym, wychowaniu, organizacji podróży i tak dalej — będą mieli w przyszłości więcej roboty niż kiedykolwiek przedtem. Jeśli zaś chodzi o kierowników przedsiębiorstw to — jak wiemy od tak bystrych obserwatorów jak Wiliam H. Whyte — są to istoty usposobione tak konkurencyjnie i ogarnięte taką ambicją, że biorą ze sobą swą robotę, dokądkolwiek się udają, w każdym razie są w praktyce niezdolni do „leisure".

Amerykański sposób spędzania „leisure". Rozwój rzeczy, idący w kierunku zwiększenia „leisure" dla mas, znajduje już odbicie w licznych gałęziach przemysłu. Łodzie i ich wyekwipowanie stały się już przemysłem o setkach milionów dolarów obrotu. Ilość sprzedawanego sprzętu rybackiego podwoiła się w ciągu ostatnich dziesięciu lat.

Prawie jedna dziesiąta dochodu narodowego, wynoszącego 342.000 milionów dolarów, jest obecnie wydawana na materiały, czynności (łącznie z podróżami) i usługi czasu „leisure". Rozmyślnie używamy tego słowa angielskiego, nie posiada ono bowiem jak dotąd odpowiednika polskiego: słowa: „wywczasy", „wywczasowanie" nie posiadają treści zupełnie identycznej, odnoszą się bowiem w dzisiejszej praktyce do okresów urlopu, podczas gdy „leisure" oznacza czas wolny od pracy w ogóle.

Wedle autora 60 do 80 procent tego czasu Amerykanie spędzają bądź w samym ognisku domowym („home") bądź dokoła niego, przy czym śledzenie telewizji pochłania niestety znaczną większość tego czasu. Spośród 46 milionów ognisk domowych 39 milionów ma aparat telewizyjny. Wedle ostatniego szacowania firmy A.C. Nielsen Company przeciętny czas oglądania telewizji wynosi 5 godzin 26 minut dziennie dla każdej rodziny. Inne zestawienia wykazują olbrzymi przyrost zainteresowania ogrodnictwem, amatorską stolarką i zdobieniem domów. Cyfry frekwencji wskazują wyraźny odwrót od oglądania widowisk sportowych na rzecz sportów, w których się uczestniczy samemu.

Dziesięć lat temu za granicę wyjechało 435.000 Amerykanów; w roku bieżącym liczbę ich szacuje się na 1.500.000. Dużo jeszcze większe są cyfry jeśli chodzi o podróże wewnątrz kraju. Doroczny przegląd American Express Travel podaje, że w roku bieżącym oglądać będzie widoki kraju 81 milionów turystów, którzy wydadzą nie mniej niż 17.000 milionów dolarów.

Należy mieć też nadzieję — pisze autor — że ludzie odkryją wreszcie rozkosze czytania. Na razie, według ankiet Gallupa, tylko 17 procent Amerykanów czyta stale jakąś książkę, podczas gdy u Anglików proporcja ta wynosi 85% mniej więcej. Natomiast z zadowoleniem zanotować trzeba zwrot w kierunku muzyki i malarstwa.

Kształcenie się powinno trwać całe życie. Wszystko to jednak — zdaniem autora — nie rozwiązuje problemu, jakim jest stwarzanie coraz większej ilości czasu ludziom, którzy coraz mniej go potrzebują. Skoro czasu tego będzie pod dostatkiem przez całe życie ludzkie, dlaczegóż wychowanie ma być ograniczone do 20 lat, lub około tego? Rzeczą dobrą może być dopuszczenie do regularnej pracy pełnych temperamentu chłopaków już w wieku lat piętnastu, jeśli tego pragną, zamiast pozwalać na to by z nudów stawali się młodocianymi przestępcami, — a później w wieku lat 25 kierować ich z powrotem do szkoły, jeśli są dostatecznie dojrzali do tego, by pragnąć się uczyć.

Prędzej czy później, mówi Bendiner, trzeba będzie skończyć z tradycją wychowania ograniczonego w czasie — i powołuje się tu na opinię kierownika instytucji p.n. Fund for the Advancement of the Education, Clarence Fausta. Istnieje potrzeba czegoś więcej niż kursy dla dorosłych czy kursy uzupełniające. Chodzi o koncepcję całkiem nową — o wzbudzenie zainteresowania całego narodu do ciągłego kształcenia się, poprzez kombinację instytucji formalnych, wyspecjalizowanych dyskusyjnych grup telewizyjnych, i, być może nade wszystko, przez starą metodę nauczania człowieka przez człowieka.

Jeśli „leisure" umożliwia coraz większej ilości ludzi uczyć się, może ona także dostarczać coraz większej liczby ludzi uczących — ludzi, których głównym zajęciem może być praca w banku czy w sklepie, lecz którzy uzyskawszy biegłość w jakimś języku lub jakiejś umiejętności, uznają za rzecz przyjemną dla siebie i zyskowną nauczanie innych. Niestety, do tej pory niewiele się planuje w tym zakresie, choć różne fundacje zaczynają już badać teren.

Wiele związków robotniczych od dawna już organizuje „klasy" różnego rodzaju dla swych członków, a korporacje samorządowe poczęły kierować swych młodszych przywódców z powrotem do kolegiów (colleges) na skondensowane kursy nauk humanistycznych. Jednak, jak dotąd, wszystkie te dosyć przypadkowe inicjatywy zagłuszane są przez ustawiczne bębnienie reklamy handlowej, nawołującej publiczność do wydawania pieniędzy w taki sposób, by spędzać wolny czas na przejażdżkach motorówkami, malowaniu domów i innych tego rodzaju zajęciach, zresztą pożytecznych i polecenia godnych, ale nie wskazujących w żadnym stopniu, by stanowiły coś więcej ponad to, czym dla Grecji były biegi lekkoatletyczne, a dla Rzymu jego łaźnie.

Trzeba czegoś więcej. To zaś absolutnie nie może wystarczyć — zauważa słusznie autor. Wynika to w większym jeszcze stopniu z jego uwag na temat zarysowującej się na przyszłość różnych możliwości organizacji podziału czasu między pracę a „leisure".

Niekoniecznie więc w grę może tu wchodzić sześciogodzinny dzień pracy cztery razy w tygodniu z „week-endem" przedłużonym do trzech dni. Taki długi week-end będzie miał różne złe strony, przede wszystkim spowoduje jeszcze większe zagęszczenia na szosach samochodowych, a będzie mimo wszystko za krótki na dłuższe wypady.

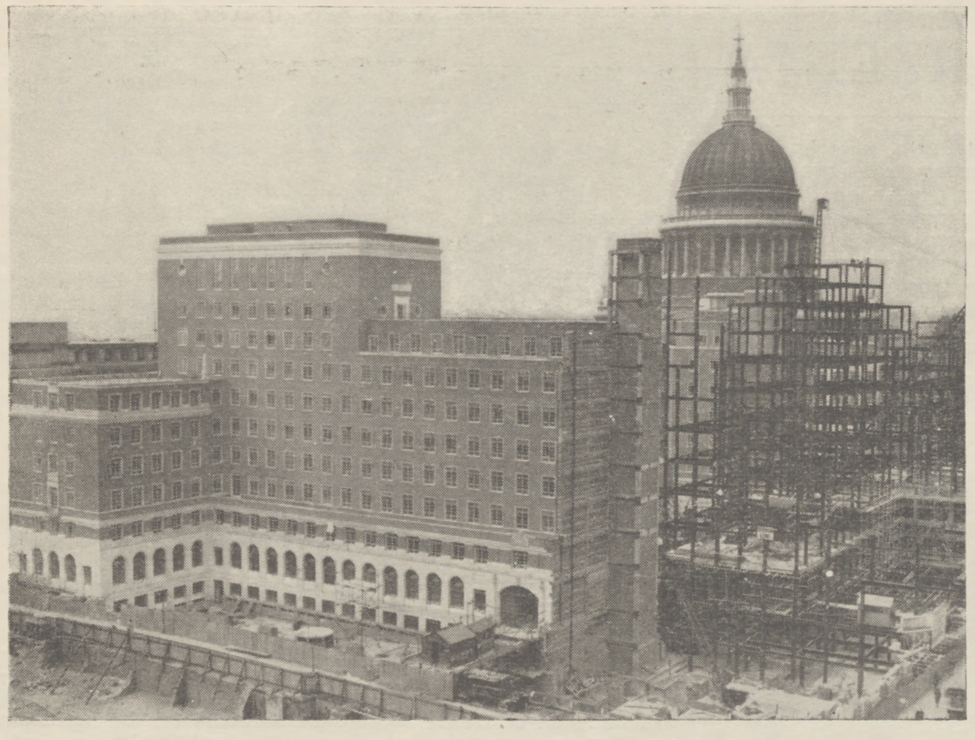
Przy odrobinie wyobraźni można obmyślić różne interesujące alternatywy, na które zgodzą się zarówno pracodawcy jak pracownicy. Taka skrajna alternatywa może polegać na tym, że pracownik trzymałby się siedmiogodzinnego dnia pracy, pięć razy w tygodniu, pracowałby jednak tylko osiem miesięcy w roku. Ci, którzy nie bardzo mogliby sobie wyobrazić, co zrobić z taką ilością wolnego czasu przez tak długi okres, mogliby w miejsce tego zdecydować się pracować codziennie krócej w ciągu całego roku, lub mieć dłuższy dzień pracy, ale krótszy tydzień.

Oczywiście problem spędzania „leisure" nabrałby w niektórych z tych alternatyw szczególnej ostrości. Problem ten, jak zaznaczyliśmy, dotyczy obecnie wyłącznie Ameryki i streszczony tu artykuł jest dowodem, że z wagi jego coraz bardziej ludzie zdają sobie tam sprawę. Z czasem jednak stanie się on przecież aktualny także dla innych krajów i kontynentów.

W OBRONIE PRAWA

W Little Rock, w stanie Arkanzas, 1000 spadochroniarzy w pełnym rynsztunku bojowym wprowadziło dziewięcioro dzieci murzyńskich do szkoły. Operacja wojskowa, przeprowadzona przez federalne siły zbrojne na podstawie decyzji Najwyższego Sądu Stanów Zjednoczonych, położyła kres haniebnemu skandalowi. Rasistowski demagog, gubernator Faubus, musiał się ugiąć.

Gubernator Faubus spowodował swoim postępkiem niepowetowane szkody nie tylko dla swojej ojczyzny, ale dla całego wolnego świata. Wyzwolił najdziksze instynkty, przyhamował postępujący proces łagodzenia tarć



Bank of England, który tak niedawno był punktem powszechnego zainteresowania w związku z zagrożoną pozycją funta, ma przenieść część swoich działów do nowego gmachu. Na zdjęciu widać rozpoczętą już budowę obok katedry św. Pawła.

między białymi i czarnymi obywatelami Ameryki, dał nieocenione wsparcie propagandzie sowieckiej i komunistycznej agitacji. Usprawiedliwił niestety następujące zdanie w „Komsomolskiej Prawdzie" moskiewskiej: „...Fakty są rzeczą upartą. Wydarzenia (w Little Rock) oznaczają niezbicie, że rasizm i kolonializm w Stanach Zjednoczonych nie są wymysłem propagandy: są brzydką rzeczywistością..." — Opinia wolnego świata, we własnym interesie, nie może zasłaniać smutnej prawdy: pozbawiono praw obywateli dorosłych i dzieci; bito dorosłych i dzieci; pluto im w twarz; bestialsko okaleczono młodego Murzyna, by zdobyć wyższy stopień w terrorystycznej organizacji Ku-Klux-Klan; dynamitem wysadzono szkołę...

Te szkody tylko w części odrobi prawda innych pozytywnych faktów. Naprzeciw bezprawiu gubernatora stanął od początku odważnie i bezkompromisowo sędzia federalny Ronald Davies, katolik. Przeciwstawiły się gwałtowi władze samorządowe. Olbrzymia większość narodu amerykańskiego potępiła rasistów: dorośli i dzieci bronili na miejscu napastowanych. Rząd Stanów Zjednoczonych, z prezydentem na czele, ostrożnie i powoli, ale nieugięcie bronił prawa i sprawiedliwości, postawił gubernatora pod sąd, nakazał wycofanie milicji, zbrojnie zapewnił zwycięstwo prawa. — Czy tak postąpiły Sowiety na Węgrzech?

Nieodpowiedzialny wybryk utrudni ustalenie poglądów i cierpliwe dążenie do rozładowania napięć, jakie wywołuje i wywoływać jeszcze będzie sprawa murzyńska w Stanach Zjednoczonych. W roku 1962 będzie 20 milionów Murzynów w całym kraju, z czego połowa północnej części, dokąd przeniosło się ich z południowych stanów 1.613.000 w latach 1940-50. Kto zdaje sobie sprawę, że w stołecznym Waszyngtonie jest 43.9% Murzynów, a 70% czarnych dzieci w szkołach?

Najżywotniejszy interes narodu amerykańskiego każe mu jak najenergiczniej dążyć do rozwiązań, które dyktują stare zasady chrześcijańskiej miłości bliźniego.

EUROPA — AMERYKA

Staraniem Ruchu Europejskiego ukazało się imponujące wydawnictwo poświęcone sprawie zbliżenia europejsko-amerykańskiego, pt. „European-American Survey" (Przegląd Europejsko-Amerykański); wydane w Brukseli; redaktorami są: Europejczyk — Konrad v. Adelmann i Amerykanin — Kenneth E. Beer.

Księga jest zbiorem starannie opracowanych artykułów, napisanych specjalnie dla wydawnictwa przez czołowe osobistości z obu stron Atlantyku, zaangażowane w akcję jednoczenia Europy oraz jednania dla tej akcji zrozumienia i poparcia w Stanach Zjednoczonych.

Wykaz autorów stanowi listę „czołówki" europejskich działaczy. Tytuły artykułów dają przegląd najważniejszych problemów, osiągnięć i dążeń. — W dziale wstępnym piszą: Schuman, obecnie prezydent Ruchu Europejskiego — o idei zjednoczenia Europy; Hoffman, b. przewodniczący organizacji realizującej Plan Marshalla, obecny wiceprezydent Amerykańskiego Komitetu Zbliżenia z Europą Zjednoczoną — o więzach między oboma kontynentami; Robert van Schendel, sekretarz generalny Ruchu Europejskiego — zabiera głos na temat tej organizacji. — W dziale pt. „Wspólnota polityczna" — o Radzie Europy pisze senator de la Vallée Poussin, prezydent Ruchu Europejskiego w Belgii i przewodniczący Komisji Europy Środkowo-Wschodniej Ruchu, a o obecnej fazie budowania Europy Zjednoczonej — Dunstan Curtis (Anglik), p. o. sekretarza generalnego Rady Europy w Strasburgu. — W dziale pt. „Wspólnota gospodarcza" wypowiadają się: J. Zijlstra, holenderski minister ekonomii — w sprawie Beneluxu; O. B. Kraft, b. minister spraw zagranicznych Danii — mówi o roli Skandynawii: René Sergent (Francuz), sekretarz generalny Organizacji Europejskiej Współpracy Gospodarczej (OEEC) — o swej organizacji; René Mayer (Francuz), b. premier, prezydent Wysokiego Zarządu Wspólnoty Węgla i Stali — o Wspólnocie; Ugo la Malfa (Włoch), b. minister ekonomii — o Wspólnym Rynku. — O Euratomie pisze F. Etzel (Niemiec), wiceprezydent Wspólnoty Węgla i Stali. — O kulturalnej wspólnocie Europy — H. Brugmans (Holender), redaktor Kolegium Europejskiego w Bruges, niedawno nawrócony na katolicyzm. — Edward Raczyński, b. minister spraw zagranicznych, prezes Polskiej Rady w Ruchu Europejskim, pisze o krajach Europy Środkowo-Wschodniej pod panowaniem komunistycznym. — W dziale pt „Obrona" piszą: P. H. Spaak, b. premier belgijski, sekretarz generalny Paktu Północno-Atlantyckiego — o Pakcie, a J. Hutchinson (Anglik), przewodniczący Zgromadzenia Unii Zachodnio-Europejskiej — o Unii. — Wreszcie w dziale pt. „Stany Zjednoczone i Europa" znajdujemy artykuły: J. O. Blumgarta, dyrektora Wydziału Wykonawczego Amerykańskiego Komitetu Zbliżenia z Europą Zjednoczoną; gen. L. Norstada, głównodowodzącego wojskami NATO w Europie; Lincolna Gordona, profesora ekonomii na uniwersytecie w Harvard; Ph. Courtneya, prezesa Amerykańskiej Rady w Międzynarodowej Izbie Przemysłowo-Handlowej; Irviga Browna, kierownika Biura Europejskiego Związków Zawodowych ALF-CIO; Johna Nasona, prezesa amerykańskiego Stowarzyszenia dla Spraw Polityki Zagranicznej (Foreign Policy Association). — Księgę zamyka artykuł Francois-Poncet, prezydenta Komitetu Akcji Ruchu Europejskiego.

Ambasador Raczyński, zaproszony do napisania artykułu pt. „Europa nie kończy się na żelaznej kurtynie", przedstawia znaczenie krajów Europy Środkowo-Wschodniej; analizuje klęskę, jaką dla Europy jest jej podział; przypomina działalność uchodźców na rzecz wyzwolenia i zjednoczenia Europy; omawia tendencje integracyjne na przyszłość powołując się na uchwałę Polskiej Rady Jedności Narodowej z czerwca 1956 r.; pisze o dążeniu, by między Niemcami i Rosją powstał regionalny związek państw w ramach Zjednoczonej Europy; charakteryzuje wydarzenia roku 1956, zwłaszcza w Polsce i na Węgrzech, i wyciąga wnioski, domagające się realizacji zasady solidarności europejskiej w czynie przez udzielenie pomocy gospodarczej i politycznej; w szczególności zwalcza tezę o ograniczaniu polityki pokojowego wyzwalania etapami jedynie do Niemiec, żądając włączenia w te wysiłki całego obszaru Europy Środkowo - Wschodniej; daje wyraz wiary ze strony narodów od Europy jeszcze oddzielonych w sprawę jej zjednoczenia; apelując, aby narody wolne poświęciły więcej uwagi i wysiłku sprawie wolności.

W trzecią rocznicę zgonu

Ś. † P.

STEFANA CZEPILA

odbędzie się Msza św. żałobna w Brompton Oratory w Londynie w piątek, 4 października 1957 o godz. 9 rano.

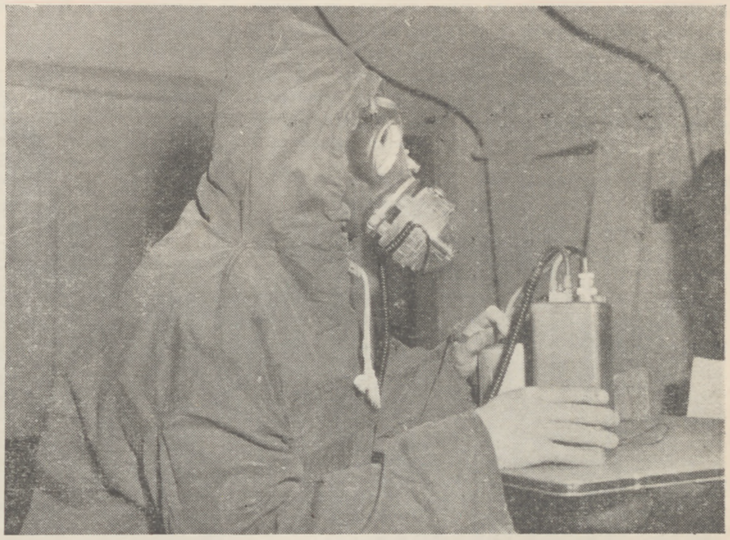
o czym zawiadamiają

ŻONA
i KOLEDZY
z KAT. OŚR. WYD.
„VERITAS"

LUDZIE I ZDARZENIA

W Londynie odbywają się stale ciekawe wystawy, na których chcąc nie chcąc można się wiele nauczyć. Nie ma tygodnia, żeby w kilku od razu miejscach nie było okazji obejrzenia czegoś interesującego na takiej lub innej wystawie. Oprócz wystaw stałych, otwartych dla publiczności przez cały rok, na które przeważnie się nie chodzi, odkładając to zawsze na czas przyszły, bywają też, i to często, wystawy trwające krótko, które staje w zdumieniu, że tyle tu ciekawych rzeczy, czasami niezwykle nawet ciekawych, i już nie myśląc o czasie ogląda, podziwia i przyrzeka sobie, że od teraz będzie bezwarunkowo zwiedzał już wystawy, żadnej nie opuści. Nie dotrzymuje oczywiście sobie słowa, chyba, że znowu zdarzy się jakiś przypadek...

Trzy zdjęcia reprodukowane na tej stronie są również przypadkowe z trzech różnych wystaw londyńskich, które odbyły się w jednym i tym samym tygodniu. Fotografia u góry z prawej strony pochodzi z wystawy, na której pokazano przyrządy, narzędzia, ubiory i wiele innych rzeczy związanych z angielską wyprawą podbiegunową planowaną w tym roku. Maska na twarzy jest właściwie ulepszonym instrumentem do mierzenia zużywanej przez człowieka energii. Zagadnienie zużywania energii jest brane pod uwagę, przy sporządzaniu ubioru, który musi być równocześnie lekki i także dający pewną ochronę. Wystawę tę zorganizowano przy centrum badań lekarskich. Zdjęcie z dwoma niezbyt pięknymi pannami zostało zrobione w Festiwal Hallu, gdzie pokazano instrumenty muzyczne wykonane w ostatnich 400 latach. Wystawa urządzona została przez Galpin Society, które interesuje się instrumentami muzycznymi. Na zdjęciu demonstrowane są bardzo stare z XVIII wieku, skrzypce, które służyły nauczycielom tańca oraz „wielka lutnia" z XVII wieku. Trzecia wreszcie fotografia pochodzi z Wiktoria i Albert Muzeum, gdzie zgromadzono — przed objazdową wystawą po kontynencie — artystyczne przedmioty srebrne wykonane przez artystów angielskich w ostatnich kilkuset latach. Widać np. niezwykle kunsztowną srebrną solniczkę w kształcie kraba i muszli. Pochodzi ona z 1742 roku, autorstwa Nicholasa Sprimont, który wprawdzie jest rodem z Francji, ale całe swe życie spędził w Anglii. Sprimont został też później kierownikiem sławnej fabryki porcelany w Chelsea. Solniczka ta jest własnością angielskiej królowej.





rych znowu dlatego nie oglądamy, że zanim zdołaliśmy się obejrzeć, już się skończyły. Przeciętnie rzecz biorąc szary mieszkaniec Londynu nie ogląda ani jednych ani drugich, gdyż zawsze brakuje mu na to czasu. Wystawy londyńskie zwiedzają w praktyce obcy turyści lub ludzie przyjeżdżający z prowincji, a także nieliczne grono zainteresowanych specjalnie w takim czy innym dziale. Gdy, dzięki jakiemuś przypadkowi zdarzy się zadyszanemu w ciągłym pośpiechu londyńczykowi trafić do jakiegoś lokalu wystawowego,

*

Paul Robeson, amerykański Murzyn, znany ze swych zapatrywań komunistycznych, śpiewał 5 października br. dla górników z Południowej Walii (w Portheawl) i to śpiewał przez telefon. Historia tego oryginalnego koncertu jest dość skomplikowana jak na zachodnie stosunki. Śpiewak, Paul Robeson, został zaproszony do Anglii przez związek górników, lecz rząd Stanów Zjednoczonych odmówił mu udzielenia wizy wyjazdowej. Robeson poczuwając się do dotrzymania przyrzeczenia zaśpiewania górnikom z Południowej Walii, postanowił wobec uniemożliwienia mu wyjazdu, zaśpiewać dla nich po prostu przez telefon. Pomysł zaiste dowcipny: Robesonowi przysporzyło to reklamy, propagandzie komunistycznej dało niepotrzebnie argumenty. Paul Robeson śpiewał w studio urzędu telegrafów transoceanicznych w Nowym Jorku. Koszt tego telefonu pokryje związek górników w Walii.



Printed by: Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W.2. Tel.: PAD 9784.